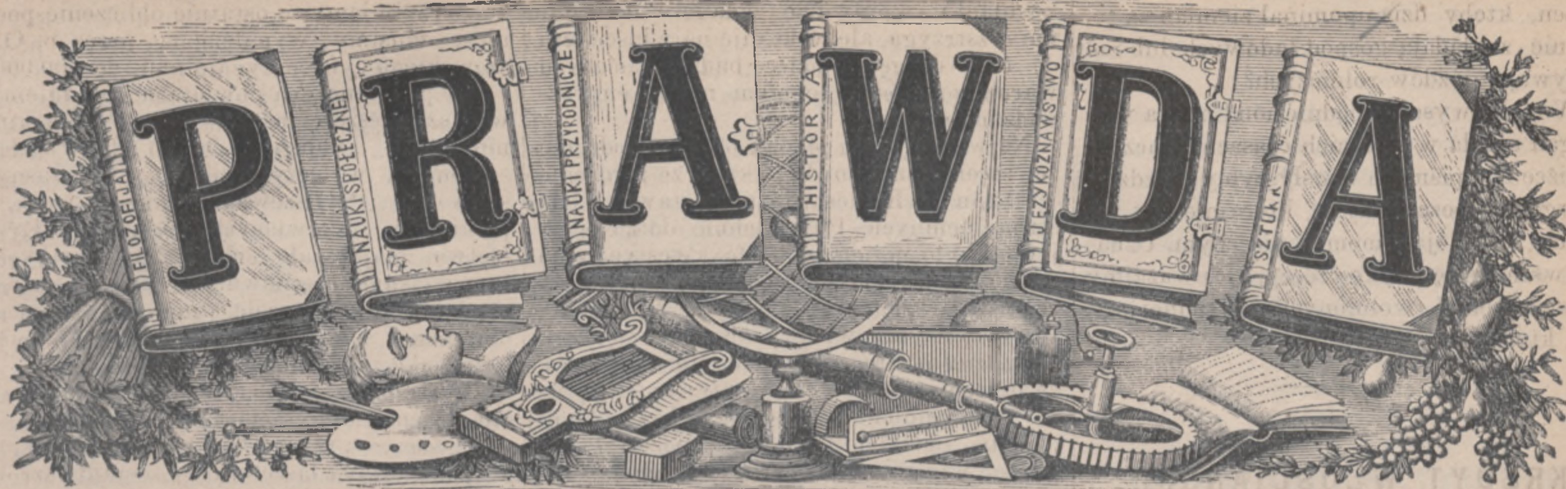
№ 7. Warszawa, dnia 16 (4) Lutego 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Włodzimierska Nr. 2.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

PODNIESIONA MIARA.

W poglądach naszej prasy liberalnej na działalność głównych żywiołów społecznych przeważa ciągle gorzki pesymizm, który zachowawczej dostarcza powodów do skarg lub napaści na stronę przeciwną. Pisma wolnomyślne wytykają szlachcie kastowe uprzedzenia i bezczynność, mieszczaństwu — pochłaniającą wszystkie jego siły pogoń za zyskami, chłopom —niedołężną ciemnotę, żydom — separatyzm i t. d. O ile dla odparcia tych zarzutów nie są przytaczane fakty, występuje zawsze w obronie potępionych trudność warunków. Wtedy uczącemu lub karcącemu odpowiadają uczeni lub karceni: stań na miejscu naszem i zrób! Przy każdym więc pojedyńczym wypadku i przy ocenie całości naszego życia nasuwa się pytanie: która strona ma słuszność? czy pesymizm prasy liberalnej jest usprawiedliwionym, czy też apatya żywiołów przez niego chłostanych? Sprobujmy na pytanie to dziś odpowiedzieć.

Nie ulega wątpliwości, że porównywanie naszego narodu z innymi jest nieraz zasadnem i wypada na niekorzyść naszą, ale i to także pewna, że często dogadza ono tylko szlachetnej dumie, pragnącej ciągle trzymać się w najpierwszym rzędzie cywilizacyi i że nie każde zestawienie obrzuca nas wstydem. Tak np. szlachta polska bezsprzecznie tkwi w przesądach kastowych, ale tkwi w nich jeszcze głębiej zagraniczna, bo nawet najoświeceńsza—niemiecka. Pomijamy feudałów, przeżuwających w zamkach dawne tradycye, i weźmy sferę, która najmniej sprzyja uprawie anachronizmów stanowych — cóż tam widzimy? Niedawno jeden z posłów w parlamencie usłyszał ostre napomnienie za to, że wymawiając nazwisko poprzedniego mówcy, opuszczał *von*. Świeżo niemieckie ministeryum wojny wydało przepis, kogo należy tytułować *Hochwohlgeboren*. Najznakomitsi i najsłynniejsi uczeni zrzekają się na okładkach swych dzieł stopni naukowych, orderów, najrozmaitszych zaszczytów, ale o dodaniu *von* nie zapominają nigdy. Żaden profesor niemiecki z katedry nie powie nawet: Aleksander Humboldt, lecz zawsze: Aleksander *von* Humboldt. Głośny autor *Filozofii nieświadomości*, Hartmann tylko to drobne słóweczko zachowuje dla ozdoby swego nazwiska; podobnie Ihering, Kirchmann i inni. Nawet telegraf, upoważniony do skróceń, nie śmie w gazetach pisać: minister Gossler, lecz minister von Gossler. Formalności tej przestrzega również bardzo skrupulatnie obyczaj towarzyski.

Tak samo w stosunkach niemieckich lub francuskich znajdziemy samolubstwo lub fanatyzm, ciemnotę lub nadmierną pychę.

Dlaczego jednak pomimo to i pomimo olbrzymiej różnicy w ustroju społecznym, żywimy ciągle ów pesymizm? Dlatego, że potrzebujemy do walki o byt ludzi innych, niż zwykły bieg rzeczy daje, ludzi poniekąd wyjątkowych. Kto rozejrzy się uważnie w warunkach naszego życia, ten przyznać musi, że zwykłem natężeniem sił, zastępem jednostek średnich, sumą poświęceń łatwych — nie dokonamy niczego. Każdy musi na swe barki włożyć ciężar większy, niż osobniki innych społeczeństw, musi dźwignąć tyle, ile tylko zdoła. W chwilach, w których wszyscy obowiązani są do ofiar, najuczciwszy egoista lub próżniak staje się gatunkiem złym. Nasi obywatele ziemscy, mieszczanie, chłopi, żydzi robiliby dosyć, gdyby znajdowali się gdzieindziej, w tym kraju robią nieraz za mało. Podobno, jak opowiada anegdota, jakiś mąż, straciwszy żonę w podróży morskiej, przykładał swe półroczne dziecko póty do własnych piersi, aż or je odciągnęło i mleko z nich wysysać zaczęło. Chociażby skutek był mniej pomyślny, jest to przykład dla nas. My powinniśmy nieraz, będąc mężczyznami, karmić dzieci, będące w ubóstwie — rozdawać jałmużny, w smutku — pocieszać, w chorobie — uzdrawiać. Słowem, winniśmy podnieść skalę naszych obowiązków, pracy, wiedzy i ofiar. Z braku właśnie dostatecznej liczby wyjątkowych umysłów i charakterów czerpie swą gorycz pesymizm postępowców, którzy czując silniej obawę, surowiej sądzą swe społeczeństwo i większe stawiają mu wymagania. Nie twierdzi on bynajmniej, ażeby zagraniczni ziemianie, kupcy, przemysłowcy lub księża byli białymi aniołami, których skrzydła ledwie gdzieniegdzie jakaś czarna łatka plami, i ażeby nasi składali gromadę złych i czarnych duchów, lecz żąda, ażeby ci nasi spotęgowali swoje obowiązki do miary, przez potrzeby ogółu wskazanej. Kto w takim poglądzie dostrzega „kalanie własnego gniazda," przeniewierstwo obywatelskie, ślepy kosmopolityzm, a nie widzi głębokiego przywiązania do kraju, troskliwej bojaźni o jego przyszłość, chęci zabezpieczenia jej, ten albo jest mizernym oszczercą, albo stracił wszelki zmysł w szacowaniu dążeń ludzkich. Podniesiona miara wymagań, surowość w sądach jest przeciwnie wyrazem bardzo szlachetnych życzeń względem ogółu. Ci, których on mało obchodzi, którzy poprzestają na utrzymaniu własnej wygody i w daleką przyszłość wzroku nie rzucają, ci nie pociągną nigdy żadnego żywiołu do surowej odpowiedzialności. Prawdziwa miłość bywa w trwodze nietylko czułą, ale i okrutną.

Jak rzekliśmy, żądamy od wszystkich i żądać musimy przymiotów spotęgowanych. Czasem wszakże warunki ułożą się tak, że największy wysiłek pozostaje daremnym a najlepsze chęci rozbijają się jak bezsilne fale o skałę, która ani im nie ustąpi, ani rozkruszyć się nie da. Wtedy nieumiarkowany pesymizm byłby bezmyślnem zrzędzeniem i niesprawiedliwością. Byłby on takim w wielu wypadkach obecnie.

Czy nie zasługiwałby np. dyplomu waryata ten, ktoby dziś upominał ziemian za to, że nie zakładają gospód ludowych lub nie odbywają zjazdów rolniczych?

Wogóle, wysoko podniesiona miara wymagań uległa w ostatnich czasach znacznej obniżce i w pismach też słyszymy rzadziej skargi na bezczynność, która nie jest już wadą, lecz lojalizmem koniecznym. Uznając wszakże tę logikę rzeczy, nie uważajmy się za zupełnie zwolnionych od trudnej pracy, którą dźwigamy.

KREDYT WŁOŚCIAŃSKI.

I.

W jednym z zeszłorocznych numerów *Prawdy* mówiąc o zamierzonem rozporządzeniu t. z. funduszem użyteczności ogólnej, uznaliśmy już wtedy za najwłaściwszą myśl przeznaczenia go na pożyczki bezrolnym włościanom dla kupna ziemi; zastrzegliśmy się tylko przeciwko projektowi poruczenia tej operacyi komisarzom włościańskim. Obecnie bliską już jest urzeczywistnienia instytucya, mająca działać w tym właśnie kierunku. W Petersburgu utworzono komisyę, do której powołani zostali również niektórzy przedstawiciele tutejszej administracyi, obmyślającą sposoby zastosowania do warunków miejscowych normalnej ustawy dla banków włościańskich. Poprzednio, jakby dla przygotowania gruntu, *Warszawskij Dniewnik* poruszył tę sprawę i opierając się na statystycznych danych, rozwinął szczegółowo potrzebę i środki zorganizowania nowej instytucyi, przeceniając nieco jej zakres i znaczenie, i pompatycznie chrzcąc zainaugorowaną działalność mianem socyalizmu państwowego. W odpowiedzi *Gazeta Warszawska* w artykule p. t. *Proletaryat rolny* stara się osłabić wiarogodność cyfr, projektowane zaś środki zaradcze uważa za niedostateczne i nieprowadzące do celu; odsiebie jednak wprost żadnej wskazówki nie podaje. W tym wypadku, jak zwykle, prawda leży po środku. Myśl banku włościańskiego, chociaż nie jest jedynie skutecznem panaceum w danej sprawie, zasługuje na coś więcej, niż na lekceważące i pobieżne wzmianki; wprawdzie zadania radykalnie nie rozstrzyga, ale wskazuje najwłaściwszą do tego drogę i bądź co bądź w obecnych warunkach jest najlepszem możliwem rozwiązaniem.

Najważniejszem jednak jest stwierdzenie ze strony urzędowej faktu, że położenie włościan w Królestwie przedstawia wiele stron ciemnych. Powszechnie dotąd przyjętem było mniemanie, że kwestya rolna w kraju naszym rozwiązana była stanowczo i jeżeli znajdowali się niezadowoleni, to tylko na stanowisku własności większej. Dwudziestoletnie doświadczenie wykazało, że przechwalona reforma potrzebuje poprawy i uzupełnienia. Zresztą zwykła to kolej działań ludzkich. Nietkniętą pozostała jedynie wielka zasada uwłaszczenia, zewnętrzne zaś, na pokaz robione akcesorya odpadły i nagie, z urzędowych źródeł wzięte cyfry, wskazują nam stan rzeczy, którego dziś jeszcze zatrważającym nazwać nie można, który jednak ciężkie zadanie stawi przyszłości. Rząd podejmuje inicyatywę w tym kierunku a *Dniewnik*, rozgrzeszając rozprawy od zarzutu posądzenia o socyalizm, wskazuje ową sferę dyalogów, w których i my głos zabrać możemy.

Statystyka podaje tylko ogólną przestrzeń ziemi, znajdującej się w posiadaniu włościan (8,600,996 morgów i 704,154 należących do drobnej szlachty) i liczbę osad (685,605), co wynosi na jedną osadę 12½ morga. Z pozoru wydaje się to bardzo pięknie i pozwala snuć różowe wnioski. Przy bliższem jednak rozpatrzeniu rzecz cała inaczej nieco wygląda. Pomijając już różnice w uposażeniu włościan w każdej gubernii (w suwalskiej średnia przestrzeń osady 21 morgów, w kaliskiej 9.2 a w kieleckiej mniej jeszcze) — nie mamy wcale danych, na jakie kategorye dzieli się drobna własność. Pracę tę, o ile pozwoliły szczupłe materyały, podjął w *Ognisku* p. Olszewski; oblicza on w przybliżeniu ilość osad, nieprzenoszących 6 morgów, na 250,000, co daje 36,5% małorolnych. Za podstawę posłużyła mu cyfra 108,246 osad mniej niż 3 morgowych, stwierdzona urzędownie w chwili ostatecznego sprawdzania tabel likwidacyjnych. *Gazeta Warszawska*, opierając się na statystyce Załęskiego, utrzymuje, że komitet urządzający uwłaszczył takich osad 151,704, *Dniewnik* zaś, również ze źródeł urzędowych, podaje, że z liczby uwłaszczonych 589,818 — miało mniej niż 3 morgi 29,3% t. j. 172,811. Jeżeli przyjmiemy to ostatnie obliczenie, podnieść musimy wynalezioną przez p. Olszewskiego cyfrę przynajmniej do 300,000.

W pojedyńczych powiatach znajdujemy większe jeszcze różnice: w lipnowskim mniej niż 3 morgi posiadało 53½% uwłaszczonych, w łęczyckim 47%, w przasnyskim 40%. P. Olszewski wykazuje, że w 27 powiatach, stanowiących trzecią część Królestwa, znajdowało się 64% małorolnych; tam właśnie uregulowanie służebności nie istniało prawie wcale i nic ma w tem nic dziwnego, serwituty tylko dawały im jeszcze jaką taką możność utrzymania.

Przy obliczeniu bezrolnego proletaryatu znajdujemy nie mniejszą plątaninę. *Gazeta Warszawska* przedstawia bardzo pracowity wykaz. Po uwłaszczeniu pozostało bezrolnych 673,152 osób, jeśli doliczymy przyrost naturalny, obrachowany na zasadzie tablic z lat poprzednich, kategorya ta dziś liczyć powinna 908,755. Do tego dodać należy przyrost ludności posiadającej mniej niż 3 morgi, który bezwarunkowo odpadł do proletaryatu, wynoszący 212,585 głów, co nam da liczbę bezrolnych 1,121,340. Oprócz tego proletaryat rolniczy w miasteczkach daje jeszcze 299,026 przedstawicieli.

Olbrzymia ta cyfra nie jest jednak dokładną. Najprzód w ostatniem dwudziestoleciu przybytek ludności był znaczniejszy i wynosi nie 35% ale blisko 50%, powtóre cyfra małorolnych, nawet przyjęta przez *Gazetę* t. j. 151,704 rodzin i przyrost od niej obrachowane są niedokładnie. Rodzina włościańska liczy się zawsze nie 4, lecz 5 osób, w chwili uwłaszczenia więc było nie 606,816 lecz 758,520 głów tej kategoryi.

Prawdopodobniejszą wydaje się nam cyfra podana przez *Dniewnik* (2,000,000). Czeladzi dworskiej według danych przytoczonych przez p. Górskiego jest 800,000, resztę stanowić mają zagrodnicy i wyrobnicy wiejscy. Tutaj znowu przy obliczeniu popełniono wskazany wyżej błąd, t. j. na rodzinę rachowano 4 głowy. Jeżeli przyjmiemy 5, liczba czeladzi dworskiej wzrośnie; natomiast ilość zagrodników i komorników zdaje się nam być przesadzoną.

Istnieje jednak sposób obliczenia bezrolnej ludności, mniej może dokładny w szczegółach, ale za to prowadzący do pewniejszych rezultatów. Włościanie według danych urzędowych stanowią 74,6% ludności Królestwa (p. Olszewski nie wskazując

---

[4])

Wspomnienia o Heinem.

V.

Wracam do mego opowiadania.

Francuzi, rzadko znając język cudzoziemski, o ile nie jest martwym, nie interesują się bynajmniej walkami literackiemi zagranicy. Któż przypomina sobie jeszcze dzisiaj we Francyi *Młode Niemcy*, które narobiły tyle hałasu od 1835—1838 i przeciwko którym Metternich, w imieniu sejmu frankfurckiego, tyle wywołał burz, a których pień znajdował się w Paryżu? Czyż przypominamy sobie jeszcze rewolucyę 1844 r. w Berlinie i w Wiedniu, parlament we Frankfurcie, wreszcie rozpędzenie owego parlamentu przez tego samego króla pruskiego, który w r. 1848 sromotnie zbiegł z Berlina do Londynu i który w 1871 r. ogłoszony był cesarzem niemieckim? Otóż te zdarzenia literackie i polityczne wiążą się z sobą. Każdy fakt materyalny ma przyczynę duchową i jeżeli Francya z r. 1870 została zwyciężoną, *Młode Niemcy* z r. 1835 do tego się poniekąd przyczyniły. Prawda, że były one tylko bękartem rewolucyi 1830 r. i że te same przyczyny, które wywołały zwycięstwo brutalnej siły w Niemczech, ustanowiły we Francyi drugie cesarstwo. A ponieważ wypadki wiążą się z sobą nietylko w jednym narodzie, lecz w różnych, bez zamachu stanu uznanego w Paryżu nigdy Bismark nie odważyłby się na swój krok względem Izby pruskiej i nie ogłosiłby na jej karku polityki krwi i żelaza!

Już w 1830 r. Niemcy dojrzały do rewolucyi politycznej. *Listy z Paryża* Ludwika Boernego pochłaniali wszyscy niemcy w tysiącach egzemplarzy. Wszystkie państwa południowo-niemieckie miały Izby konstytucyjne, gdzie panował liberalizm. Prasa nie była wolną. Metternich i sejm. w którym panował, sprzeciwiały się wolności jej, ale drukowano prawie wszystko w Stutgarcie, Lipsku, Hamburgu i nawet w Berlinie a co cenzura mazała w jednem mieście, ukazywało się w innem. Dzienniki i książki rewolucyjne przenikały do wszystkich warstw społecznych, urągając jawnie wszystkim zakazom Austryi i Prus, gdy kilku młodych literatów, mieniących się heglistami, bez urzędnej zresztą zgody, ale podających sobie dłonie z miasta do miasta, ogłosiło seryę dzienników i książek *na rzecz emancypacyi ciała*. *Wally*, romans cudzołożny Gutzkowa, nadewszystko ściągał na siebie uwagę publiczności. Zewsządmłoda literatura niemiecka, reprezentowana przez Gutzkowa, Laubego, Munda i Wienberga, dążyła do wyzwolenia się z zasadenoty obowiązkowej w małżeństwie. Schleiermacher, podnosząc swe praktyki do godności maksym, wytknął już kilka bruzd w tem polu. Mieniący się heglistami, nihiliści w filozofii, usiłowali zastosować brak zasad, ich niebyt do całej literatury a rykoszetem do polityki. Nietylko zaprzeczali chrystyanizm, wyszydzali wszelką wiarę w Boga i na oślep rzucali się w wir wolnej miłości. Byłem obecny w Lipsku scenie, które byłaby niemożliwą w Genewie i Paryżu. Widziałem dwu dziennikarzy, pp. Helda i Hellera, mieniających się żonami za zgodą tych ostatnich i obchodzących te nowe zaślubiny ucztą bratnią. Wszędzie wyswobadzano ciało w oczekiwaniu wyswobodzenia narodu, od którego właśnie zacząć należało. Tej bandzie literackiej wyemancypowanej ze starych zwyczajów i śniącej o tysiącu i jednej nocy wolnych miłostek, potrzeba było przywódcy, poety, pisarza genialnego. Ludwik Boerne używał wielkiej popularności, lecz oprócz tego, że był nazbyt republikaninem, był wściekłym deistą, wierzył w Boga i cnotę a jakkolwiek nawrócony, podobnie jak Heine pysznił się, że był żydem. Henryk Heine w swych pismach nie dbał o cnotę. Wyszydzał wszelką miłość platoniczną, wszelką religię pozytywną, począwszy od judaizmu. Nazywał siebie to grekiem, uczniem

źródła podaje 75—76%), czyli 5,400,000 z ogólnej liczby 7,300,000 mieszkańców Królestwa. Odliczając na posiadaczy 685,000 osad z rodzinami 3.500,000, liczymy jak czytelnik widzi hojnie; otrzymamy 1,900,000 bezrolnych. Przy takich cyfrach różnica 100,000 nie wiele znaczy, dlatego dane *Dziennika* wydały się nam prawdopodobnemi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Pomijamy proletaryat rolniczy w b. miasteczkach, przypuszczając, że on dostarczy zastępu robotników wzrastającemu przemysłowi fabrycznemu i powracamy do małorolnych. Nie próbując nowych wyliczeń, opartych na cyfrze przez *Dziennik* dostarczonej, przyjmujemy obrachowanie p. Olszewskiego, obrachowanie bardzo ostrożne a więc nieulegające posądzeniu o przesadę. Jak widzieliśmy, wykazuje on 250,000 osad małorolnych t. j. mających mniej niż 6 morgów gruntów, a pozwala nam cyfrę niezabezpieczonych materyalnie włościan podnieść do 3,000,000 z górą. A więc blisko 60% przedstawicieli tej klasy ludności niema zapewnionego utrzymania. Porównanie z osławioną Galicyą doprowadza nas do wniosku, że uposażenie ziemią włościan w Królestwie jest korzystniejsze, bo przeszło 60% ma zapewnione środki do życia, tam zaś nie w więcej jak 40%, za to bezrolny proletaryat jest u nas znacznie liczniejszy. Lecz czy 6 morgowa osada daje możność znośnej egzystencyi? Jest to wielkie pytanie, gdyż nawet wielbiciele drobnej własności dopiero 8 morgowy obszar uważają za niezbędne minimum.

Statystyka budowli a zwłaszcza inwentarza odsłania bardziej jeszcze smutny stan ekonomiczny ludności wiejskiej. W posiadaniu włościan znajduje się zaledwie 442,000 koni, odliczając z tej cyfry pewien procent na źrebięta, widzimy, że zaledwie połowa osad posiada inwentarz pociągowy. Dodać należy, że wielu włościan trzyma po 2 lub więcej koni, że w liczbę powyższą weszły również konie należące do drobnej szlachty, a przyjdziemy do gorszych jeszcze wyników. Rozpatrując znowu pojedyncze gubernie, znajdujemy rażące różnice: lubelska np., w której włościanie uposażeni są lepiej, wykazuje przeszło 80,000 koni chłopskich, kaliska nie wiele więcej nad 30,000.

Cyfry te mówią za siebie, z drugiej wszakże strony faktem jest, że do krańcowości ostatecznej nędzy lud nasz nie doszedł, i że np. w porównaniu z Galicyą stan jego ekonomiczny nazwać można względnie pomyślnym. Złożyło się na to wiele warunków. Nie ulega wątpliwości, że uwłaszczenie podniosło znacznie poziom dobrobytu ludu i pozwoliło mu nawet poczynić małe oszczędności, które, w połączeniu z oszczędnościami z lat dawnych, dały włościanom możność do kupienia blisko 3,000.000 morgów ziemi. Rozwój gospodarstw folwarcznych wpłynął na zapotrzebowanie większej ilości rąk i podniósł z początku cenę pracy, wreszcie służebności dały małorolnym sposobność wiązania końców z końcami i wleczenia nędznego życia.

Taki stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie, bo i kapitały musiały się wyczerpać i zapotrzebowanie pracy dojść do pewnej granicy, po za którą przekroczyć nie może. Cena ziemi podskoczyła w górę, podwoiła się a nieraz potroiła nawet. Zresztą ludność powiększyła się szybko i dla przyrostu tego niema ani ziemi, ani zarobku. Nie jest bez znaczenia objaw, że koloniści niemieccy w ostatniem dziesięcioleciu dokupili 360,000 morgów, wskazuje to bowiem, że miejscowym nabywcom zaczyna braknąć kapitału. W tym czasie również powstały pierwsze zaczątki emigracyi, kierującej się głównie na Wołyń. Nie mogła jednak ona być znaczną, bo stanęły jej na przeszkodzie okoliczności innej natury, wysiedliło się około 1000 rodzin, przeważnie z powiatów, w których procent małorolnych jest największy. Cena najemnika nie wzrasta, a w nieurodzajnych latach w niektórych miejscowościach (np. w małorolnych powiatach gubernii kieleckiej) spada niezwykle. Słowem, z po za efektownej dekoracyi wynurzają się objawy innej zgoła natury i jeżeli dobrobyt ludu przedstawia się nam w różowych barwach; to dlatego jedynie, że żyjemy jeszcze złudzeniami lat ubiegłych. Konieczność poprawy istniejących stosunków występuje coraz widoczniej, stwierdza je ze swego stanowiska i *Warszawskij Dniewnik*, któremu zakulisowa strona kwestyi włościańskiej najlepiej jest znaną. O środkach, jakie w tym celu przedsięwziąć należy, pomówimy w następnym artykule.

J. L. P.

O SOLIDARNOŚCI MORALNEJ.

(H. Marion.)

Na polu pracy umysłowej w zakresie filozofii, nie się niby w chwili obecnej nie robi, jednakże robota się snuje. Brak prac naznaczonych piętnem geniuszu, stawiających nową ideę, wskazujących nową drogę, prac syntetycznych; nie pojawił się drugi Comte, ani drugi Darwin; ale nie brak opracowań częściowych, analitycznych, mających niemałe znaczenie. Prace te są to kamyki, znoszone na budowlę nową. Geniusze nie przychodzą na zawołanie, nie pojawiają się w terminach oznaczonych. Trzeba na nie czekać — długo niekiedy i przygotowywać dla nich grunt za pomocą opracowywania szczegółów. To ostatnie odbywa się. Literatury angielska, niemiecka, włoska i francuska dostarczają obficie materyału, w którym rozpatrując się, natrafiać można na prace wartości istotnej—nie genialne, ale pożyteczne, objaśniające.

Do prac tego rodzaju zaliczyć można książkę, napisaną przez p. Henryka Marion, a wydaną przez zasłużoną we względzie wydawnictw filozoficznych firmę Germer Baillière, p. t. *De la solidarité morale, Essai de la psychologie appliqueé.*

Pomiędzy dwoma prądami skrajnymi, jakie się obecnie w filozofii objawiają, płynie środkowy, usiłujący skrajności godzić. Profesorowie Caro i P. Janet w Paryżu, K. Secrétan w Lozannie, E. Naville w Genewie są świetnymi kierunku pośredniego przedstawicielami. Zwrotka niezmienna, z jaką się oni do pozytywistów zwracają, jest następująca: „Wszystko to prawda, co powiadacie, przesłanki wasze i wnioski są racyonalne, a przecie... znajdują się kwestye, których rozwiązać nie jesteście w stanie.“ Nadaremnie pozytywiści tłomaczą, że się kwestyami pewnemi nie zajmują wcale, że zajmują się jedynie rozwiązywaniem zadań takich, w których wiadome dane są pewne i wątpliwości niepodlegające. Tamci wciąż swoje „a przecie“ powtarzają i budują systematy, które są rzeczami staremi, podawanemi w sosie pozytywistycznym. Korzyść stąd wynika wielka. Szkoła ta, którą by nazwać można neoeklektyczną, kontroluje kierunki skrajne i broni je od, wybujałości zbytecznej. Dzięki jej, Büchneryzm, który lat temu dwadzieścia narobił

Arystofanesa i Alcybiadesa, to ateuszem. Jego pisma, jego poezye były równie popularne, jak Ludwika Boernego. Ostatni przypominał męski, silny głos J. J. Rousseau'a. Jego myśli głębokie i bystre, jego patryotyzm skierowany ku zjednoczeniu ojczyzny pozostawiał ponure ślady w umysłach czytelników. Heine był wesełszy. Posiadał on śmiech Voltaire'a, bez gorliwości i zapału deistycznego. Jego dowcip zahartowany wbijał się klinem w przesądy Niemiec starych. Młode, sławiąc zresztą Boernego, wybrały Heinego za swego przywódcę. Gdy kilka ruchów rewolucyjnych wywiązało się w Bawaryi, wielkiem księstwie badeńskiem i Frankfurcie samym, sejm uznał za właściwe wystąpić ostro. Należało może puścić płazem te zboczenia młodości, ale sposobność była zbyt piękna. „Młode Niemcy“ oskarżono nie jako grupę spiskowców politycznych, rewolucyonistów, czem byli w rzeczywistości—lecz jako bandę pisarzów niemoralnych, bękartów rewolucyi lipcowej i jej zepsutej literatury. W owym czasie Heine, którego uważano za republikanina i który pozwalał się uważać za takiego, był jeszcze przyjacielem Boernego, który z kolei był przyjacielem i sprzymierzeńcem Raspaila i redaktorów *Nationala*, jakkolwiek Heine nigdy nie przestawał z radykalistami paryskimi i od chwili swego przyjazdu przyłączył się do literatów z *Pressy* i *Constitutionela*, raczej do poetów, niż pisarzów politycznych. Podczas gdy policya niemiecka przypierała do ściany „Młode Niemcy“ za niemoralność, wybuchło rozdwojenie między dwoma przywódcami ruchu literackiego i politycznego w Paryżu, między Heinem i Boernem, obydwoma z pochodzenia żydami chrzczonymi.

Wynikało to z ich natur odmiennych. Boerne, jak Schiller, był bardzo chorowitym, zagrożonym przez słabość piersiową. Mieszkał on w Paryżu pod dachem protektorki swej, pani Wohl, rozwiedzionej żydówki frankfurckiej, która posiadała majątek. Swoje sławne *Listy z Paryża* adresował do tej pani. Nie miał wcale kłopotów pieniężnych, albowiem niczego mu nie brakło. Jego listy, pałające patryotyzmem i republikanizmem, wymierzone nawet przeciwko monarchii Ludwika Filipa, pochłaniano w Niemczech. Boerne był demokratą w życiu, zarówno, jak w swych dziełach; Heine przeciwnie—arystokratą. Miał wielkie potrzeby, a nie znał wartości pieniędzy, kochał płeć piękną i uciechy cielesne, krótko mówiąc, nie miał w sobie nic republikańsko-spartańskiego. Zresztą lubił śmiać się ze wszystkiego, nawet z rzeczypospolitej, a republikanie w jego ojczyźnie cudownie się do tego nadawali. W Paryżu był obecnym na kilku zebraniach robotników-rewolucyonistów niemieckich, wciągniętych do stronnictwa radykalnego i wyszedł z nich zasmucony. Było to tylko wycie i łajanie, przeplatane kiełbasą naczosnkowaną, którą pożerano, gdy nie klęto. Prędko też wybuchło starcie między dwoma przywódcami duchowymi. Boerne oskarżył Heinego o zdradzenie swego stronnictwa i zaprzedanie się rządowi lipcowemu. Heine zaś za całą obronę natarł na swych wrogich wsteczników w Niemczech, wyrzucając im własne wady i własne ułomności. Walka ze stypendyonowanymi obrońcami Prus i Austryi była niełatwa, gdy oto stronnictwo skrajno-demokratyczne w Paryżu zaczęło go, jak się zdaje, opuszczać. Lecz nie opuścił go naród niemiecki. Każda z jego książek, którą sobie wydzierano, bez względu na to, czy była zakazaną, czy nie, sprzedawała się w tysiącach egzemplarzy. Skromne moje stanowisko wobec niego, w owym czasie, było bardzo trudne, Byłem republikaninem z serca i rozumu i wielbicielem Boernego. Spółpracowałem w dwu dziennikach, redagowanych przez członków „Młodych Niemiec.“ Gdybym pozostał w Niemczech, wypędzonoby mię jako francuza. Dwukrotnie już zabierano się do wizowania mego paszportu i jedynie w charakterze alzatczyka znajdowałem łaskę wobec cenzorów policyjnych z tamtej strony Renu. A jednak taką żywiłem dla Heinego przyjaźń, że broniłem go *per fas et nefas* i przeciwko wrogom jego w Niemczech, również jak nowym jego przeciwnikom w Paryżu. Przy-

był wrzawy tyle, przebrzmiał bez echa, Schopenhaueryzm nie rozwija się, jak oczekiwano. Stanowi ona rodzaj przeciwwagi w odniesieniu do lewicy filozoficznej, i do niej wyłącznie, albowiem, co się prawicy tyczy, z tą do gadania niema. Ta biedaczka istnieje, ale nie dla nauki, dmie w dudy stare, ochrypłe, mocno się gniewa, bardzo wymownie gromi, trafia atoli do przekonania tych chyba tylko, co na słowo wierzą. Słowo jej, mimo że się ona „doktorami anielskimi“ świadczy i potęgi nadprzyrodzone na pomoc wzywa, ciałem się nie staje i nie mieszka między nami. Pozostaje przeto do kontrolowania lewica, i tej kontrola wielkie oddaje przysługi.

Pana H. Marion, który, mówiąc nawiasem, jest profesorem filozofii w liceum Henryka IV, zaliczać można do lewicy, ale nie skrajnej. Stoi on raczej w szeregach lewego środka, przymykającego do pozytywistów, z których pełnemi czerpie garściami. Nie jest to, w zawodzie autorskim, nowicyusz. Z prac jego dawniejszych na wymienienie zasługują: *Locke, życie jego i dzieła*, *Lekcye psychologii zastosowanej do wychowania* i *Lekcye moralności*. Jak z samych tych tytułów widać, że studyowanie moralności wybrał sobie za specyalność. W tym zakresie książka *O solidarności moralnej* jest pracą jego ostatnią w drugiem wydaniu. Zaznaczam edycyę, jako osobliwość. Książki naukowe, we Francyi nawet, nie mają pokupu takiego, ażeby dla nich edycye mnożyć było potrzeba. Rozchodzą się romanse. Rozprzedaż prac naukowych odbywa się powolnie i kończy zazwyczaj w antykwarniach, na wybrzeżach Sekwany, gdzie dzieła wielkiej wartości za bezcen nabywać można. Że przeto wydawca *O solidarności moralnej* odważył się powtórnie utwór p. H. M. drukować i na sprzedaż wystawiać, to samo jest pochlebnem dla autora świadectwem, tem pochlebniejszem, że rzecz nie odznacza się ani szczególnym wdziękiem stylu, ani też wykładem zbyt popularnym. Daleko jej do świetnych wykładów Spencera. Mimo to czyta się—sam przedmiot pociąga czytelnika, jako szereg zadań, nawiązujących się około wyrazów w potocznej mowie bez zrozumienia często używanych. Objaśnieniu wyrazów tych poświęca autor wstęp, w którym daje nie definicyę, o jaką się dawniejsi autorowie ubiegali, nie formuły, któreby się stawały pętami na myśl, ale opisanie. Naprzykład:

„Moralność—powiada autor — polegające nietylko na intencyi, ale i na czynach, zależy od wszystkiego, co bierze udział w zdeterminowaniu czynów, od okoliczności, śród których się czynność rozwija i od sytuacyj wytworzonych poprzednio. Lecz, przypuszczając nawet, jak niektórzy myślą, iż wola sama przez się posiada wartość moralną, analiza wykazuje nam, że sama wola jest ściśnioną i niepodległość absolutna, nieograniczona nie jest nigdy jej udziałem. W istocie nie masz wolności absolutnie czystej, radykalnie bezwarunkowej, ponieważ postanowienie wszelkie zależy od motywów i pobudek, które je wywołują, a które wiążą się, w części przynajmniej, do przyczyn, którym podlegamy i których zmienić niemożemy. Intencya przeto, moralna albo niemoralna, zależy od wszystkiego, co w nią z konieczności rzeczy wchodzi i sprawia, że jest tem, czem jest.“ I dalej: „Nietylko to, co czynię, zależy zawsze poniekąd od czegoś innego, aniżeli chcenie moje, ale w chceniu mojem nawet nie wszystko jest chcianem. W każdym szczególnym razie znajduje się coś danego, co wybór mój ogranicza i w części determinuje. Jestem pewną osobistością empiryczną z pewną przeszłością, z pewnemi usposobieniami naturalnemi i nabytemi, a pole działalności mojej tak jest ograniczone, jak moje doświadczenie, moja wiedza, moje siły.“

Wyjątek powyższy poznać daje nietylko metodę, jakiej się p. H. M. trzyma, ale oraz i punkt wychodni wywodów, które opiera na systemie doświadczalnym, podszytym przyczynowością. „Moralność — słowa jego — jakkolwiek ją pojmujemy, składa się z wielu czynników, z których każdy jest solidarnym, jest, jakby powiedzieli matematycy, funkcyą wszystkich innych, do tego stopnia, że w życiu moralnem wszystko się trzyma i wiąże. Moralność nie jest rzeczą epizodyczną a przemijającą, ukazującą się cudownie w punkcie pewnym czasu i przestrzeni, bez związku z niczem, bez przygotowania i następstw. Pod względem tym, jak i pod innymi, rzeczy tworzą system. Człowiek jest całością naturalną (*un „tout naturel“* — wyrażenie to Bossueta); psuje się lub poprawia wedle praw naturalnych.

Stąd wynika określenie solidarności moralnej:

„Zbiór warunków, które wraz z tą cząstką wolności, jaką posiadamy, biorą udział w uczynieniu nas moralnie czem jesteśmy, oto co nazywam solidarnością moralną.“

Jest to, według autora, wiązanie przyczyn rozlicznych, działających w każdej danej chwili i oddziaływających z przeszłości na przyszłość. Czem jesteśmy dziś, wynika to w znacznej części z tego, czem byliśmy wczoraj i wpływa na to, czem będziemy jutro.

„Organizm moralny, czyli charakter, jest, jak organizm w znaczeniu właściwem, w styczności nieustannej ze światem zewnętrznym, w wiecznym stosunku wymiany z otoczeniem.“

Z tego, com powiedział wyżej, łatwo urobić sobie pojęcie o zadaniu, którego rozwiązanie miał autor przed się. Rozwiązuje je, traktując kolejno, w części pierwszej, o solidarności jednostkowej, w drugiej, o solidarności społecznej i biorąc dowody wszędzie, gdzie takowe do wzięcia się nadają: w Biblii i u Herberta Spencera, u Bossueta i Kanta, u Littrégo, Hartmana, Schopenhauera, Leopardiego etc. etc. Autorowie kościelni i świeccy, prawowierni i pod klątwą pozostający są dla niego zarówno dobrzy. Bezstronność ta ułatwia mu pracę ogromnie, pozwala bowiem bez uprzedzenia posługiwać się materyałem bardzo obszernym. Któż się kwestyą moralności wprost lub ubocznie nie zajmował? — nawet kwestyą moralności solidarnej? — Powiedzieć atoli należy, że solidarność moralności *) pojawia się po raz pierwszy pod postacią wykładu specyalnie jej poświęconego. Pan H. M. pierwszy ujął ją pod postacią tą, wykazał, jak się ona zawiązuje, jak rozwija i utrwala w osobistości pojedynczej, jak się zawiązuje, rozwija i utrwala w ciele zbiorowem, jakim wpływom podlega osobistość ludzka wyrastając, dostając się do szkół, wstępując w związki małżeńskie, obierając tę lub inną karyerę, jak oddziaływają na nie tradycye i przykłady, skąd pochodzą tak zwane „zarazy moralne.“ Wszystko to są rzeczy arcyciekawe i arcyważne w stosunkach zarówno towarzyskich jak społecznych, dla rodzin mających dzieci do wychowywania, dla lekarzów i prawników, z których pierwsi miewają często do czynienia z chorobami ciała, wynikającemi z u-

*) Zdaniem naszem jest to tylko nowa nazwa starej rzeczy. *Red.*

---

znaję wszelako, że gdybym był wówczas wiedział, że pobierał sześć tysięcy franków rocznie z funduszów tajemnych Molégo i Guizota, mniejbym dorzucał ognia do mych improwizowanych artykułów.

Boerne, nie będąc tego pewnym, węszył trupa. Oskarżał on Heinego o zdradę, lecz wkrótce umarł, mając lat czterdzieści dwa. Inny republikanin, Strauss, przyjaciel serdeczny Boernego, poślubił, po jego śmierci, panią Wohl i prowadził dalej głuchą wojnę przeciwko Heinemu, który go nazwał *osłem rogatym*. Stąd pojedynek, o którym mówiłem. Z Boernem zaszło tosamo, co i z Schillerem. Nigdy Goethe nie miałby tak wielu zwolenników, gdyby nie śmierć przedwczesna Schillera, którego za życia publiczność wyłącznie uwielbiała. Gdy zmarł w sile wieku, Goethe zaś żył aż do osiemdziesięciu czterech lat, narzucił swój geniusz materyalistyczny (!) i gorszący (!) kilku pokoleniom. Przysłowie niemieckie mówi: w braku młodych panien, tańczy się z pannami. Boerne był wrogiem i to wrogiem niebezpiecznym Goethego. W pewnym artykule jadowitym mówił: „zawsze nienawidziłem tego człowieka, nie wiedząc dlaczego; teraz już wiem.“ Tu następuje serya krytyk literackich i politycznych, prawdziwy akt oskarżenia przeciwko wrzekomemu (!) geniuszowi. Niema wątpliwości, gdyby Boerne był żył, pociągnąłby częściej swych licznych czytelników przeciwko Goethemu, ale Heine wielbił Goethego i przyznawał, że jeżeli go kiedykolwiek napadał, to czynił jedynie z zazdrości. Wkrótce „Młode Niemcy,“ prześladowane, zwyciężone i *ożenione*, powróciły do codziennej kolei filisterskiego życia. Walka zmieniła swoje miejsce. Z literatury przeniosła się do wyżyn filozoficznych i teologicznych. Było jeszcze sporo młodych poetów demokratów, jak Herwegh, Dingelsted i Freiligrath, jawnie głoszących rewolucyę, ale największymi pociskami, które pękały nad głowami publiczności niemieckiej, były książki niby filozoficzne, wszystkie materyalistyczne i ateuszowskie, pisane pod wpływem uniwersyteckim Hegla, Bauera i Feuerbacha. Znaną jest, po roku 1848, opłakana historya tej epoki, stykająca się ze smutną odyseą parlamentu frankfurckiego! Powrócimy do niej. Dwaj tylko ludzie wsławili się w nim, obaj dzieci, jeden — żyd, drugi — syn żyda, obaj wielcy krasomówcy. Jeden nazywał się Gabryel Rieser, drugi — Robert Blum!

Co do mej małej osobistości, odkąd zdołałem utrzymać się dzięki memu pismu francuskiemu, od 1840 roku, posłałem Niemcy i niemców do wszystkich dyabłów i nie brałem, z jednym tylko wyjątkiem—po zamachu stanu, udziału w walkach i sprawach niemieckich.

VI.

Pewnego dnia, było to, sądzę, w 1846 r., Heine, spacerując ze mną, przy wyjściu z ministeryum spraw zagranicznych, po bulwarze, odezwał się z uśmiechem:

— Muszę zaatakować jutro Guizota w *Gazecie augsburskiej*, bo inaczej mniemalby, żem się sprzedał.

— Jakto sprzedał? — zapytałem. Płaci panu zatem, aby być atakowanym?

— Nie. Pobieram pensyę od króla Ludwika Filipa. Król zna język niemiecki i czyta mnie. Jestem jednym z jego przyjaciół. Ale Guizot, Molé, Thiers nie znają słowa niemieckiego, i król ma prawdziwą przyjemność, widząc, jak go wychwalam, drapiąc jednocześnie jego ministrów.

— Ładne pan uprawiasz rzemiosło! Boerne zatem miał racyę! Ileż pobierasz pan rocznie?

— Sześć tysięcy franków. To za nic, ale, dodał, *nie sprzedałem się, uległem*. Nie piszę ani jednego wiersza wbrew memu uczuciu i przekonaniu. Jestem *konstytucyonalistą*, nie jestem właściwie ani republikanimem, ani monarchistą. Jestem za wolnością. Wierzę, że niema rządu trwałego, jeśli nim nie jest rzeczpospolita rządzona przez monarchistów lub monarchia rządzona przez

sposobień moralnych, drudzy z chorobami moralnemi, których źródło znajduje się w mózgu lub mięśniach.

T. T. Jeż.

CO — I JAK — W SOCYOLOGII.

III.

Że należenie do tego lub owego stanu albo klasy społeczeństwa rodzi odpowiednie przesądy, o tem wiedzą wszyscy a jednak z trudnością wyswobodzają się z nich. Każdy stan urabia sobie przekonania ze stanowiska swoich interesów, a stąd fałszywie, bo jednostronnie patrzy na całość społeczeństwa. Najpoważniejsze zboczenia w sądach i wnioskach socyologicznych, wynikające z uprzedzeń stanowych, są te, których źródło leży w powszechnym antagonizmie rządzących i rządzonych, pracodawców i pracujących. Wejrzawszy w przekonania społeczne, urobione pod wpływem afektów, które powstają i żyją na gruncie walki stanów, nie trudno dostrzedz ich fałszywość. Pracodawcy i pracujący miotają wzajemnie na się obelgi, wyrzucają sobie krzywdy, jedni o nieuczciwość, drudzy o srogość swych przeciwników pomawiają, a wśród tego ślepi są na to, że jedni i drudzy są ludźmi z takiemi samemi przeciętnie wadami, tylko w odmiennych przejawiającemi się warunkach. Mylnie też pojmują jedni i drudzy naturę i znaczenie organizacyj społecznych. Pracownicy, domagając się poprawy systemu przemysłowego, uważają obecnie istniejący za bezwzględnie zły. Gdyby wszakże wejrzeli w przemiany, jakim w biegu czasu stosunek klas niższych do wyższych ulegał, przyszliby z jednej strony do przekonania, że złe, które obecna przemysłowa organizacya za sobą pociąga, jest mniejsze od zła organizacyj dawniejszych i że każda z upadłych już jej form istniała tylko dlatego, że najlepiej odpowiadała przeciętnej naturze ludzi swej epoki, upadła zaś wówczas, gdy natura ludzi tak się zmieniła, że umieli wytworzyć i utrzymać przy życiu nowy, lepszy ustrój. Z drugiej zaś strony pojęliby, że obecny system przemysłowy nie utrzymuje się wskutek jakiejś nadzwyczajnej niesprawiedliwości klas panujących, lecz dzięki własnej ich nieudolności do wytworzenia lepszego porządku, że zatem teraźniejszy jest wytworem współczesnej przeciętnej natury ludzkiej, a poprawa jego może nastąpić w miarę udoskonalenia się jej. Panujące klasy znów nie umieją wskutek swoich uprzedzeń stanowych zrozumieć, że obecny system jest, jak i wszystkie poprzednie, przejściowym; że on, jak i dawniejsze, nie istnieje dla ich wygody, lecz dlatego, iż w danej chwili najlepiej służy dobrobytowi ogólnemu; że te dolegliwości, na które oni narzekają, są tak samo wynikiem owego systemu, za którym obstają, jak i wygody, z których korzystają; i że, jak z biegiem czasu zmniejszenie władzy klas panujących nie szło bynajmniej w parze z uszczupleniem ich wygód i przyjemności, tak samo i kiedyś mogą powstać systemy, które jeszcze znaczniej władzę ich ograniczą, lecz i większe dadzą im szczęście.

Uwielbianie potęgi rządu jest źródłem uprzedzeń politycznych, które, również jak i poprzednie, tylko w miarę postępu cywilizacyi mogą słabnąć, t. j. w miarę tego, jak w ludziach zamiast czołobitności dla władzy wykonywającej prawo, rozwinie się w dostatecznym stopniu poszanowanie dla samego prawa, leżącego w moralnym porządku rzeczy. Dziś wszakże schylamy, tak samo jak w dawniejszych epokach cywilizacyi, czoło nie przed majestatem, lecz przed jego politycznem wcieleniem. Forma tego wcielenia natury samego uczucia nie zmienia, i pod tym względem dziki, przypisujący boskie pochodzenie swemu wodzowi, nie różni się od obywatela państwa konstytucyjnego, który ufa wszechpotędze większości parlamentu. Przesądy tego rodzaju stanowiły zawsze — i dziś jeszcze stanowią — wielką trudność socyologii. To bowiem uczucie, które w pierwotnych czasach było jedyną wewnętrzną spójnią zawiązujących się państw, jest dziś niezbędnym warunkiem utrzymania ich porządku. Żywią je wszystkie stronnictwa polityczne: począwszy od największych służalców aż do najskrajniejszych radykałów, wszyscy spodziewają się, że rząd, uorganizowany według ich recepty, zdołałby usunąć wszystko złe, nurtujące państwo; a jak dosadnie mówi H. Spencer: „setkami piór codziennie napadamy na polityczne bożyszcze, a tysiącem języków modły doń wznosimy." W związku z tem uprzedzeniem — w którem tkwi bezwiedne mniemanie, że między umysłowym i moralnym charakterem narodu a jego rządem niema żadnej wspólności, a więc, że społeczeństwo umysłowo i moralnie ułomne może mieć rząd nieposiadający podobnych ułomności w odpowiednim stopniu — w związku z tem uprzedzeniem stoją dwa inne bardziej szczegółowe, ale również zasadnicze. 1-o mniemanie, że dla społeczeństwa tem lepiej, im bardziej czynności jego w najdrobniejszych szczegółach zostaną uregulowane zapomocą oddzielnych praw; i 2-o zbytnie zaufanie w skuteczność form politycznych. Pierwsze przecenia dobroczynne skutki ustaw, a skupiając uwagę socyologa na bezpośrednie tylko ich następstwa, nie dozwala mu dojrzeć bardziej odległych, których, w zbiorowisku tak skomplikowanem jak społeczeństwo, dokładnie obliczyć, ani nawet przewidzieć niepodobna, a które mogą sprowadzić sumę zła, o wiele przewyższającą bezpośredni dobroczynny wpływ. Drugie uprzedzenie zasłania przed oczami socyologa niezbitą prawdę, że *primum agens* społeczeństwa jest *charakter* narodowy, że zatem każdy ustrój o tyle bywa dobry, o ile jest wynikiem tego charakteru. Wszelkie formy polityczne, tak samo jak i wszystkie prawa, są tylko narzędziami dla osiągnięcia pewnego celu; każde zaś narzędzie musi być zastosowane do sił władającego niem, jeśli ma wydać odpowiednie rezultaty. W dziedzinie więc ogólnej teoryi socyologicznej uprzedzenia polityczne odwodzą uwagę badacza od zjawisk rozwoju społecznego, dokonywanego zapomocą sił rządzonych, a wysuwając na pierwszy plan rządzące, podtrzymują mniemanie, że społeczeństwo jest wyrobem mężów stanu.

W końcu nowem źródłem błędów socyologicznych są uprzedzenia teologiczne. Każdy system religijny stawia jako ostateczną normę oceny czynów ludzkich nie ich wewnętrzną wartość, lecz zgodność z przykazaniami, uważanemi za boskie. Wskutek tego gorliwy wyznawca jednej religii nie jest w stanie ocenić bezstronnie znaczenia i cywilizacyjnej wartości innych. Co więcej, taka teologiczna norma oceny społecznych zjawisk wyklucza w gruncie rzeczy z ich umiejętności pojęcia postępu i upadku; gdyż z takiego stanowiska mierzy się wartość praw, obyczajów i czynów ludzkich nie sumą ich dobroczynnych skutków dla pomyślności ogółu, lecz stopniem ich posłuszeństwa względem przykazań boskich. Nie pozwala oprócz tego teologiczne uprzedzenie dostrzedz tej ważnej prawdy, że każ-

---

republikanów *), Oto dlaczego lituję się nad Guizotem. Jest on bardziej królewskim, niż król sam, Król ma szczersze od niego idee, czyta naprzód *Timesa* po angielsku i *Gazetę augsburską* po niemiecku. Na nieszczęście, jak wszyscy królowie francuscy, zginie przez swą żonę-katoliczkę, która jest zresztą cudzoziemką. Zrobiłem mu kilka małych ostrzeżeń, ale *Gazeta augsburska*, która jest katolicką, drukuje je niechętnie. Henryk IV, mówiąc: *Paryż wart jest mszy*, zgilotynował monarchię.

Książę Orleański, zamiast poślubić protestantkę, zrobiłby lepiej, gdyby został sam protestantem i poślubił francuską — katoliczkę. Nigdy katoliczka-francuska nie nakazałaby rzezi św. Bartłomieja, a ja nie rzucałbym pocisków na mych wrogów w Niemczech, których uważam za wrogów ducha postępu, nieprzyjaciół swobody sumienia i wogóle rodzaju ludzkiego! Gdybym nawet był republikaninem radykalnym, sądzę, iż należałoby nietylko być niewdzięcznym, ale ograniczonym, żeby napadać na rząd, który mię protegujе i łączyć się z jego przeciwnikami, najgwałtowniejszymi w Paryżu, którzy w istocie mniej mają talentu, niż ludzie w usługach tego rządu będący. Łatwo być republikaninem, jak Venedey i Wihl. Potrzeba tylko chcieć być takim i zmienić kamizelkę, potrzeba tylko schlebiać wszelkim ułomnościom, wszystkim ambicyom tych, którzy sami się ogłaszają za Katonów i sądzą, iż są Brutusami i Kasyuszami, ponieważ są chudzi. Lecz daleko trudniej posiadać talent, jak Thiers, Guizot, Lamartine i Hugo. Uznałem zatem za wstrętną rolę Boernego, który schroniwszy się do Paryża dla atakowania despotyzmu i szaleństw rządu niemieckiego, sprzymierzył się w nim z najgwałtowniejszymi republikanami i wypowiedział wojnę zapamiętałą monarchii lipcowej, napadając na nią w swych *Listach z Paryża* dla przypodobania się Raspailom francuskim i Savoie'om niemieckim. Taka rola mnie nie przystoi. Nie powiedziałem tego w mej broszurze o Boernem, albowiem oskarżonoby mię o denuncyowanie emigrantów niemieckich, którzy napadają na rząd Ludwika Filipa w swych korespondencyach, prawdopodobnie dlatego, że nie płaci im pensyi. Co do mnie niczego nie żądałem od monarchii lipcowej. Nie ja do niej poszedłem, lecz ona ku mnie się zbliżyła. Ani mnie nie nawróciła, ani nie znieprawiła, zostawia mi całą moją swobodę. Baron Coffa wie o tem dobrze, ponieważ prowadził układy z Thiersem. Nie czuję się wcale znieprawionym. Owszem, zanim zacząłem pobierać sześć tysięcy franków, wychwalałem wszystkich mężów stanu w Paryżu; odkąd płacą mi pensyę, nie śmiem bąknąć za nimi słówka, obawiając się, żebym się nie uważał za zaprzedanego. Od czasu nawet do czasu mówię prawdę samemu królowi, który nie bierze mi jej za złe. Czytał moje poezye i wie, co o nim myślę. A teraz, nie mówmy więcej o tem. Gdybyś pan o tem wspomniał, nie mógłbym cię więcej podejmować u siebie, a to zmartwiłoby Matyldę, która cię bardzo lubi.

— Koniec końców — odezwałem się — wszystko zatem dla Matyldy. Niechże kto powie, żeś jej pan niewierny!

— Tak jestem roztargniony, że biorę czasami inną kobietę za nią. Jest to roztargnienie, które się wyradza, niestety, w skurczenie. Nie mogę już chodzić.

Nie przeszkodziło mu to zamartwić się, gdy po r. 1848 *Revue Retrospective* opublikowała jego nazwisko między pobierającymi pensye z funduszów tajemnych.

Zamknął się u jednego ze swych przyjaciół, dyrektora domu zdrowia przy ulicy Lourcine, p. Foltrié, w którego domu leczył się już na długo przed ożenieniem. Lekarz ten wciągnął go do loży wolnomularskiej, której sam był członkiem.

Powrócimy tu jeszcze, do tej ulicy Lourcine.

(D. c. n.)

*) Patrz dalej świadanie Heinego, Sué i Balzaca.

dy system religijny jest z ogólnego punktu widzenia pewną składową cząstką swego społeczeństwa, że więc bezwzględnie dobrego nie było i niema, że każdy z nich ma tylko względną wartość — użytkową. Tym sposobem umysł, opanowany uprzedzeniem teologicznem, niezdolny jest zrozumieć bardzo ważnej klasy prawd socyologicznych. Reakcya przeciwko temu sprowadza często uprzedzenie wprost przeciwne— antiteologiczne, które również do ważnych błędów prowadzi. Pod jego wpływem powstaje mniemanie, iż miejsce przykazań, uświęconych religią, skutecznie zająć może kodeks moralności, opartej na czysto rozumowych zasadach. Pomijając już tę okoliczność, że nawet najdzielniejszym umysłom dotychczas nie udało się jeszcze kodeksu takiego ułożyć i że rozumowe zasady etyki utylitarnej (gdyż tylko taka jest czysto rozumowa) nie są dostępne dla pojętności mas, przypuszczenie powyższe opiera się na błędnem mniemaniu, jakoby czyny nasze zależne były wyłącznie od procesów myślenia, a nie przeważnie od uczuć i afektów, jakto w istocie ma miejsce. Wszelki też system moralności pozostać musi dla czynów bezpłodnym, dopóki odwołuje się tylko do rozumu; a systemy etyczne, mające po swej stronie sankcyę religii i społeczeństwa, nie są bez znaczenia nawet dla tych wybranych jednostek, w których uczucia altruistyczne osiągnęły już stopień rozwoju, odpowiedni wymaganiom rozumowych zasad postępowania; a cóż dopiero dla tej ogromnej większości, której uczucie moralne stoi niżej tego poziomu? W parze z tym błędem idzie inne nieuzasadnione przypuszczenie. Reakcya przeciwko pewnym określonym dogmatom niejednokrotnie budzi myśl, że dogmaty wogóle nie mają żadnej racyi bytu. Wypowiadający i uznający ją zapominają, że one są tylko zewnętrzną, zmieniającą się formą czegoś, co od wieków istniało i zawsze istnieć będzie. Tą niedającą się unicestwić cząstką prawdy, tkwiącą w każdym dogmacie, jest *uczucie religijne*, odpowiadające pojęciom przyczyny i skutku, które nigdy w naszej świadomości nie zamilkną. Wszelkie zmiany, jakim pojęcia te z biegiem czasu uległy, przerabiały tylko formę uczucia religijnego, ale jego istoty, wyrażającej się w czci dla tajemniczej potęgi, będącej źródłem otaczających nas zjawisk, nie wyrugowały. Kto zatem ulega złudzeniu antiteologicznego uprzedzenia, ten musi przyjść do błędnych socyologicznych wywodów, gdyż „zapoznaje wartość religijnych instytucyj przeszłości, odmawia im użytku w teraźniejszości i oczekuje bezpowrotnego ich zniknięcia w przyszłości.“

Ostatnia część *Study of Socyology* poświęcona jest pytaniu, w jaki sposób należy kształcić umysł, aby mógł metodycznie badać zjawiska społeczne. Socyologia bowiem, jak każda umiejętność, wymaga uprzedniego nabycia odpowiednich nawyknień myślenia, jeśli studyowanie jej ma przynieść pożądane owoce. Z miejsca, jakie ona w systemie wiedzy zajmuje, wynika, że dla skutecznej pracy nad społecznemi zagadnieniami trzeba myśl zaprawiać na wszystkich głównych działach wiedzy. W społecznych bowiem zjawiskach mamy do czynienia zarówno ze stosunkami konieczności, którymi się zajmują nauki abstrakcyjne, jak i ze związkami prostej przyczynowości, stanowiącymi przedmiot nauk abstrakcyjno-konkretnych, i wreszcie z ciągłością, komplikacyą i skupieniem przyczyn, zachodzącemi w produktach, będących przedmiotem badania nauk konkretnych a zwłaszcza biologii. Ta ostatnia gałąź wiedzy ludzkiej stanowi też najwłaściwsze przygotowanie dla socyologii. Ona to bowiem, jedyna wśród wszystkich nauk konkretnych, zapoznaje umysł ludzki ze wszystkiemi wzmiankowanemi formami przyczynowości; a mając do czynienia ze względnie prostymi ich objawami, przygotowywa umysł do rozpoznania ich i w tych zawiłych zjawiskach, jakie nasze życie społeczne przedstawia. Nietylko jednak z tego powodu jest biologia najodpowiedniejszym przygotowaniem dla socyologii, że wyrabia niezbędne dla niej nawyknienia myśli, ale nadto dlatego, że dostarcza jej dwu umiejętnie i ściśle urobionych pojęć, stanowiących podstawę dla ogólnej socyologicznej teoryi, a mianowicie pojęcia rozwoju organizacyi społecznej i pojęcia życia jednostki społecznej— człowieka.

Wiadomo, że zapożyczanie wyrażeń i terminów jednej umiejętności od drugiej prowadzi często na bezdroża, gdyż zaciemnia *istotne* różnice rzeczy, mianowanych tymi samymi wyrazami, anatomiast skupia uwagę na powierzchowne tylko podobieństwa. Nie naraża się jednak na to niebezpieczeństwo socyologia, gdy najogólniejsze swe kategorye od biologii zapożycza, przeciwnie, najzupełniejsze ma prawo ich używać. Zjawiska bowiem społeczne przedstawiają tak głębokie pokrewieństwo z biologicznemi, że wyrazy: organizm, wzrost, rozwój itd. są w obu umiejętnościach znakami pojęć istotnie jednorodnych. I tak o organizacyi materyi żyjącej wówczas dopiero mówimy, gdy składowe jej cząstki zaczynają się różniczkować w ten sposób, że każda z nich spełnia czynności odmienne od innych, a mianowicie takie, jakich położenie jej względem innych składowych części lub zewnętrznych warunków wymaga, i gdy pewna wzajemna zależność jednych od drugich się ustala. Tak samo wówczas dopiero gromada ludzi układa się w pewien organizm społeczny, gdy składające ją osobniki zaczynają spełniać różnorodne prace i powstają stosunki wzajemnej zawisłości. Na tem nie ogranicza się jednak analogia organizmu społecznego ze zwierzęcym; inne jeszcze zasadnicze cechy są w obu wspólne. W obu różniczkowanie jednorodnych pierwotnie części wtedy staje się możliwe, kiedy każda składowa cząstka, wytwarzając więcej, niż pewna potrzeba jej życia wymaga, nadmiar tej pracy może oddać na użytek innych; nadmiar zaś pracy w pewnym kierunku wówczas miejsce mieć może, gdy daną cząstkę w zaspokojeniu innych jej potrzeb inne jej towarzyszki wyręczą. Dalej, ta wzajemna wymiana usług możliwa jest w jednym i drugim organizmie tylko przy pomocy odpowiednich dróg i kanałów, łączących części wzajemnie od siebie zależne. Słowem, powinowactwo między społecznym organizmem a zwierzęcym jest tak wielkie, że uogólnienia biologiczne dadzą się rozszerzyć i na zjawiska społeczne. A jak wszystkie prawdy biologiczne ostatecznie zlewają się w jedną najogólniejszą, wyrażającą się w twierdzeniu, że każdy organizm bezpośrednio i pośrednio przystosowywa się do warunków, które go otaczają; tak samo i w socyologii wszystkie wywody prowadzą ostatecznie do najogólniejszej prawdy, że każda jednostka w swym duchowym ustroju przystosowywa się do swego społeczeństwa.

Naturalnie podciągając społeczne zjawiska pod biologiczne uogólnienia, trzeba mieć na względzie duchowe właściwości jednostki społecznej — człowieka. Z tego zatem powodu musi socyologia w wywodach swych wspierać się i na psychologii. Dwa zwłaszcza działy tej umiejętności stoją w bezpośrednim z nią związku: 1-o teorya pobudek i kształcenia woli, gdyż czyny osobników składają się na życie społeczne, i 2-o porównawcza psychologia płci; kobieta bowiem jest na równi z mężczyzną składową jednostką społeczeństwa, duchowe zatem jej właściwości wytwarzają odpowiednie cechy w jego charakterze.

Nie podobna bez zbyt wielkiego rozszerzenia tego artykułu podać bardziej szczegółowego sprawozdania z tych dwóch rozdziałów *Study of Socyology*, z których jeden objaśnia stosunek socyologii do biologii, a drugi do psychologii. Chodziło mi bowiem tylko o zwrócenie uwagi czytelnika na metodologiczną podstawę węzła, łączącego socyologię z temi dwiema umiejętnościami, aby tym sposobem uzupełnić wywody H. Spencera o sposobie badania zjawisk społecznych.

H. G.

ECHA Z GALICYI.

I.

Koterye społeczno-polityczne. — Ich stan, siły i środki.—Ostatnie dzieje prasy.—Charakterystyka tejże. — Refleksye na temat stary, ale niezużyty.

Lat temu niewiele, jak jeden z głównych swego czasu publicystów nazwał stolicę Milicyi i Landweryi miastem *rozczochranem*; chaosem namiętności, pokrzywionych wyobrażeń, zabiegów, walk i burz w szklance wody, z której wydobywanie przybliżonej, choćby skromnej *prawdy*, syzyfowym byłoby trudnem. Paradoks ten pozornie zbyt pesymistyczny, w istocie opiera się na gruncie tak realnym, iż czytelnikom naszej rubryki musimy ją z góry przedstawić jako *szkice węglem* o tyle, o ile w dzisiejszych czasach węglem wydawać się zwykło pióro prawdy. Półtrywialną, ale trafną charakterystykę stolicy naszego kraju śmiało zaznaczyć można i na kraj cały. Tak, rozczochranym jest Lwów, rozczochraną jest Galicya w znaczeniu konstytucyjnem, społecznem, politycznem, towarzyskiem, naukowem, w jakimkolwiek zresztą innem. Kto nie wierzy, niech się przypatrzy temu społeczeństwu, w którem tyle kół, kółek, kółeczek a żadnej łączności, tyle członków a tak mało głów, tyle krzykactwa a tak mało energii, tyle zarozumiałości a nic taktu, miliony sądów, opinii ani odrobiny, zbytek nieudolnych wodzów a przyzwoitych szeregowców brak wielki; niech zapuści sondę trzeźwej uwagi w szczególne pokłady galicyjskiego organizmu. Czy na różowym a ciasnym widnokręgu młodzieży, czy na szerokiem a mglistem tle naszych wielkich polityków spotka te same ciemne gwiazdy.

Co do nas, uwydatnić je mamy smutną nadzieję, tem silniej, im częściej i głębiej w następnych listach będziemy wglądać za parawan naszego życia publicznego i towarzyskiego. We wstępnej pogadance może wystarczą kontury ich areny.

Tor życia publicznego, tor polityczny, porysowany zupełnie przez temnogie koterye, jakie się po nim od lat kilkunastu przesuwają. Mówimy *koterye*, bo nie dopatrujemy stronnictw w poważnem tego słowa znaczeniu tam, gdzie walka toczy się o zasady przypadkowo a z zasady o osobistości; gdzie bodźcem do grupowania się bywa nie idea, lecz osobnik lub interes prywatny; gdzie wewnętrzną spójnię tworzy nie siła ustalonych, wyrobionych przekonań w pewnym kierunku, ale wątpliwej wartości sympatye lub antypatye. Nie widzimy potężnych sztandarów, około których skupiałaby się stała armia niewzruszonych obrońców; przeciwnie koterye owe przy lada starciu bezładnie się mieszają, by po chwilowej burzy ujrzeć się w całkiem nowej a nieraz bardzo dziwnej kombinacyi. O czemże bowiem innem świadczy np. wzrastający corocznie klub t. z. dzikich, tj. nienależących do żadnej z grup poselskich w galicyjskim sejmie; owi „podolacy,“ co to bezwzględnie tam biegną, gdzie się obrócił „pan Kazimierz;“ *) owe kokietowanie siebie wzajemnie przez pojedyncze koterye: za dumne do zlania się z kimkolwiek, do samoistnego bytu za słabe? Jedynym jeszcze statkiem, co prawda, chwiejącym się od pewnego czasu coraz bardziej, ale prze-

*) Grocholski.

cież utrzymującym się śród szumów i piany na falach galicyjskiej polityki, publicznego życia — jest t. z. partya krakowska. Naturalnie, mówiąc to, pomijamy jej tendencye, bo w tej chwili chodzi nam o przedmiotowe stwierdzenie stanu rzeczy. Otóż w krakowskim obozie, niestety, jedynie panuje pewien ład, pewna organizacya, pewna konsekwencya w traktowaniu zasadniczych spraw i działaniu, a ta wewnętrzna *karność* obok *taktu* na zewnątrz nadaje tej koteryi przewagę nad niejedną może godniejszą krajowego steru. Nie pogłębiając się w labirynt przeszłości, gdziebyśmy znaleźli sporo dziejowego materyału, sięgniemy tylko po wypadki najświeższe, a że moralna stronnictw siła najlepiej się objawia przez ich publicystyczne organa, ku nim się zwracamy.

Ostatnie ich dzieje prawią nam wcale wyraźnie o reorganizacyi konserwatystów i rozstroju, jeśli nie upadaniu prasy galicyjskiej wszelkich innych odcieni. Stańczycy *et consortes* poczuwszy chwianie się swoich posterunków, niektóre wzmocnili, resztę ściągnęli do głównej kwatery. *Przegląd lwowski* utopiono w *powszechnym*, *Słowo* podreperowano *Echem*, którego mu właśnie już braknąć poczynało, wreszcie sztab główny *Przeglądu polskiego* i *Czasu* przeistoczono zupełnie. Najważniejszym jest fakt ostatni; wielki augur bowiem krakowski od pewnego czasu naruszał jednolitość swych zacofanych przekonań a nowy redaktor dr. Smolka Stanisław wziął sobie za zadanie przywrócić ją do dawnej pełni. Ponieważ zaś ta droga prowadzi prosto do osieroconej po Szujskim hetmańskiej buławy, kandydat żarliwie pracuje, nie przepuszczając ani litery bez swojej cenzury. A cóż robią, jak się mają—przeciwnicy? Gryzą się, i prawdopodobnie gryść się będą dopóty, aż się nawzajem zjedzą. Tak przynajmniej wnosić każe sposób ich polemizowania i stan obecny. Żadne pismo niema tu do dziś prawdziwie ustalonego bytu; żadne nie stoi jedynie wewnętrzną swoją wartością. Najwięcej, bo półtrzecia tysiąca czytelników liczy urzędowa *Gazeta lwowska*. Niegdyś byli to czytelnicy prawie wyłącznie „przymusowi," dziś w wymienionej liczbie znaczna część „dobrowolnych." Smutna, bo ze szkodą dla niezawisłego dziennikarstwa, zasługa w tem b. redaktora Wł. Łozińskiego. Następcy jego (Adam Krechowiecki i Sarnecki) rozszerzyli chwilowo a znacznie dział literacko-artystyczny; po ustąpieniu jednak Sarneckiego gazeta wróciła na dawne ścieżki i wlecze po nich wygodny, bo rządową kieszenią zabezpieczony żywot. *Narodówkę* (1500 pren.) utrzymuje głównie tradycya imienia Dobrzańskiego; byt jej, naszem zdaniem, związany jest nierozłącznie z osobą *dawnego* publicysty. Dziś bowiem ma on na swych barkach tyle zajęć innych, iż *Gazetę* musi nieraz stawiać na plan drugi, co się też dotkliwie na niej odbija. Materyalnie ma się nie o wiele gorzej, lecz stokroć gorzej *robionym* jest *Dziennik polski*. Bez żadnego kierownictwa, wylazłwszy się już „na wozie" a jeszcze więcej „pod wozem," wisi teraz u pańskiej klamki (Sapieha), a czekając zmiłowania Ducha św., któryby weń tchnął coś ze swoich darów, wychodzi jak może... O połowę mniejszy formatem a dwa razy większy treścią i życiem *Kuryer lwowski* (1100) z trudnością (kilkaset złr. miesięcznie dokłada) ale wytrwale ściele sobie gniazdko na twardym nadpełtwiańskim bruku. Dotychczas byłby on je miał już niezawodnie, gdyby redaktor z bezsprzeczną swoją inteligencyą i zdolnościami łączył lepszą znajomość stosunków krajowych; gdyby pismo zamiast pozowania w pierwszej chwili na organ choćby pół-polityczny, ograniczyło się było do roli, w jakiej je chciano widzieć, tj. wyłącznie brukowej; gdyby wreszcie było zaczętem w tonie bardziej umiarkowanym. Tymczasem wystąpiwszy do tańca wśród mieczów w bluzie jaskrawo-demokratycznej, przebierał się *Kuryer* tak długo, że w końcu zapłatał się w jakiś kostium blado-arystokratyczny i wpadł we własne sidła ku uciesze całego swego otoczenia. Jedyny w tym względzie wyjątek stanowi *Nowa Reforma* (1000), dziennik w Galicyi dziś najlepiej redagowany, a mimo to wegetujący do tego stopnia, iż w grudniu ubiegłego roku miał przestać wychodzić. I to właśnie bardzo źle świadczy o obozie t. z. postępowym, iż dziennik, powtarzamy, dobrze prowadzony pod względem stylu, formy, treści; *jedyny* dziennik prawdziwie niezawisły, pełen werwy i życia istnieje dzięki tylko ofiarności i poświęceniu kilku jednostek.. Los *Nowej Reformy* dzieli *Gazeta krakowska*. Miała i ona swoje „dobre czasy" lat temu dwa jako pismo trzy razy na tydzień wychodzące. Dziś wyczerpała także kasę a więc straciła i wartość; zresztą znajduje się w okresie przesilenia, które wkrótce musi się zakończyć albo zwinięciem wydawnictwa lub jego rozszerzeniem na większą skalę, stosownie do rezultatu toczących się rokowań z finansową spółką.

Polityka-seryo zatem nieszczególnie popłaca, a humorystyka? Mamy jej trzech a właściwie dwu już tylko rzeczników. Krakowski *Dyabeł* trzyma się nieźle i odznacza prawdziwym często dowcipem. Cięteść jego atoli przechodzi czasem w trywialną przesadę, forma zaś pozostawia bardzo wiele do życzenia. Natomiast wzorem w tym względzie winien być dla każdego *Szczutek*, tak staranną ma formę zewnętrzną a estetyczną miarę w traktowaniu przedmiotów. Redaguje go publicysta cieszący się wyjątkową opinią i wierny swoim przekonaniom. Od początku walczy on przeciw germanizmowi, w polityce wewnętrznej idzie z t. z. partyą podolską, a jeśli nie każdy numer *Szczutka* jest równie dowcipnym, chyba nie redakcyi w tem wina, ale stosunków w kraju, który pismu czysto niemal politycznemu nie zawsze dostarcza materyału do... śmiechu. Temu też zawdzięcza swoich stałych 800 pren. śród najinteligentniejszych sfer Galicyi. Nie utracił on z nich wiele mimo wszelkich zamachów *Różowego domina*, które po dwuletnim szastaniu się i miotaniu w najniesmaczniejszy sposób zginęło od broni, którą tak wprawnie walczyło: namiętności i nienawiści. Przez dwu wydawców pożegnany, rzucił Chochlik swój organ w objęcia gasnącego suchotniczo *Ziarna*, by po kilku konwulsyjnych rzutach w śmiertelnym tym uścisku zamilknąć na zawsze, a przynajmniej na bardzo długo... Koniec ten był dawno do przewidzenia, bo tak jak *Różowe domino* brykało, bryka tylko ten, kto niema już nic do stracenia. Za wiele zaszczytu zrobiła mu *Prawda*, nazywając je niedawno *enfant terrible* lwowskiej prasy; jeśli dla kogo ono niem było, to chyba dla samego siebie. Epitet ten słuszniej należałby się *Strażnicy polskiej*. Największy wróg jej nie może zaprzeczyć, iż niejednokrotnie, jeśli nie zawsze, miała ona racyę i wiele dobrych chęci, ale swe myśli wypowiadała w tak nieoględny a namiętny, brutalny często sposób, iż została rewolwerem, którego nikt się nie bał, a z którego każdy głośno szydził, choć w... kąciku z rozkoszą się nim bawił. Natura bowiem ludzka zawsze ciągnie do—skandalu, a przynajmniej do plotek. Dlatego też czytelników *Strażnicy* nigdy nie brakło, ale brakło regularnych przedpłacicieli. Podtrzymywał ją w chwilach krytyczniejszych jeden z obywateli (Młocki, Krukowiecki), obecnie jednak zawieszoną będzie na czas dłuższy, skoro jej duch opiekuńczy Gniewosz został wezwany na 8 miesięcy, za naruszenie czci, w gościnę do zakratowanych przybytków Sprawiedliwości.

Zamykamy niezbyt wesołą epopeję a morały z niej wysnuć już łatwo, Dziennikarstwo galicyjskie upada, a społeczeństwo nietylko go nie popiera, ale potęguje w sobie dawne ku niemu uprzedzenie. Czyja w tem wina — długoby trzeba objaśniać. Względy *materyalne* usuwają się z rachuby, bo mimo tak okrzyczanej „biedy," nie brak nam nigdy pieniędzy, ilekroć chodzi o rzeczy stokroć błahsze; poświadczyłby to lada blagier, wydrwigrosz zagraniczny. Nie brak nam także czytających chętnie, ale brak takich, którzyby za to czytanie płacić chcieli; bo społeczeństwo nasze w pojęciach swych strasznie jeszcze płytkie, nie może zrozumieć prawdziwej doniosłości prasy, jako jednej z najważniejszych dla niego moralnych dźwigni. Nie zastanawia się nad tem, czem prasa być powinna i czem być może, ale sądzi ją ze smutnego stanu, w jakim się właśnie wskutek fatalnych okoliczności znajduje i zamiast pomagać jej do dźwignienia się z upadku, ostentacyjnie nią pomiata. Dziś dziennikarz staje się coraz popularniejszym synonimem osobnika, który, straciwszy wszelkie podstawy bytu w publicystyce szuka przytułku dla ruin swego życia. W słowach tych niema ani litery przesady a częściowego usprawiedliwienia dla tak fatalnej opinii dostarcza obraz faktycznych stosunków w prasie galicyjskiej najnowszej doby. Literaci fachowi z ukończonemi studyami należą u nas do rzadkich wyjątków; taki zaś, któryby nadto „prowadził się przyzwoicie," systematycznie się kształcił, i był wierny swym gruntownym przekonaniom—jest już w pełnem tego słowa znaczeniu rzadkością. Dopóki nasi przygodni producenci umysłowi nie przyjdą do przekonania, że ogół ma prawo od nich żądać wykształcenia, taktu w życiu publicznem i prywatnem, czystości pióra i charakteru, a dopóki z drugiej strony społeczeństwo nie uwierzy, że dla człowieka z tymi wszystkimi warunkami publicystyka jest polem godnem jego pracy; dopóki oba te żywioły nie będą nawzajem odzwierciedlały swoich myśli i uczuć—dopóty prasa galicyjska pozostanie jakimś namiotem koczowniczym, ale nie ósmem mocarstwem w Europie, za co w szczęśliwszych od Galicyi krajach uważaną jest oddawna.

Z—z.

Lwów, 9 stycznia.

Rozwiązanie i likwidacya Banku włościańskiego. — Echa rozprawy językowej w Radzie państwa. — Wycieczka przeciw mówcom polskim. — Nieco o braterstwie ewangielicznem. — Odezwa oo. jezuitów. — Socyalne różnice i ich potrzeba. — Sprawa Fryling-Myszuga. — *Carmen* i panna Herman. — Szał karnawałowy.

— Przyszło mu wreszcie na koniec —powiadają nasi chłopi w przekonaniu, że wraz z rozwiązaniem Banku włościańskiego ustaną i jego pretensye do dłużników. Uciecha po wsiach ogromna, ale, niestety, bezpodstawna. Raz podpisanego przez chłopa cyrografu na wywłaszczenie akcyonaryusze nie dadzą sobie wydrzeć i raczej biedny dłużnik pójdzie żebrać, aniżeli bogaci wierzyciele wyrzekną się bodaj jednego kuponu. Grozi też skutkiem tego 40,000 chłopów, czyli — wliczając rodziny — co najmniej ćwierć miliona ludzi ruina majątkowa zupełna. Dla *złagodzenia* przykrych skutków likwidacyi" zawiązał się tu wprawdzie komitet „obywatelski," w którego skład wchodzą rozmaici hrabiowie i książęta, wątpię jednak, ażali szanownemu gronu temu uda się zmniejszyć wielkość klęski — choćby o 10%. Podnieść jednak należy z uznaniem tę bezinteresowną interwencyę, jak niemniej napiętnować samolubstwo rządu centralnego, który wcale zgrabnie umył ręce. Trudno, co prawda, wymagać od hr. Taaffego, aby brał na swoje barki odpowiedzialność za szkodliwe skutki postanowień swych poprzedników, alež skoro spadek po nich przejął bez dobrodziejstwa inwentarza i grzechy ich na innych polach zmazywać musi, winienby się przecież poczuwać do obowiązku zmniejszenia przykrych następstw i te-

go niecnego szelmowstwa. Dla wyjaśnienia dodaję, że statut Banku włościańskiego, prawdziwe w swoim rodzaju *curiosum*, zatwierdzony został przed kilkunastu laty, w czasie, kiedy ster rządu dzierżyli jeszcze centraliści.

Zdanie było powszechne, że rząd powinien coś zaradzić. Jeździli też do Wiednia namiestnik i marszałek krajowy, ale wrócili z niczem. Ostatecznie bank został rozwiązany, kuratorem jego zamianowany dyrektor Banku kredytowego, dr. Zdzisław Marchwicki, kuratorem właścicieli listów zastawnych ustanowiony adwokat dr. Czajkowski a dla obrony interesów dłużników zawiązał się komitet, na którego czele stanął książę Adam Sapieha wraz z dyrektorem Banku krajowego, dr. Zgórskim, jako sekretarzem. Trudno dziś orzec stanowczo, jaki będzie wynik starcia się tych trzech potęg, ale większość jest zdania, że ciężar likwidacyi przygniecie ostatecznie — chłopów...

Bank włościański z jednej, rozprawa językowa w parlamencie wiedeńskim z drugiej strony—dały prasie tutejszej aż zanadto materyału do kilkotygodniowego obrabiania. Ta druga sprawa, jakkolwiek ze wszystkich krajów koronnych najmniej dotyczyła Galicyi, tak nas jednak obeszła, żeśmy się aż pogryźli między sobą. Mówię tu oczywiście o *Gazecie narodowej* tylko i *Dzienniku polskim*, bo w rzeczach polityki ani *Kuryera*, ani też *Lembergerki* nie należy brać w rachubę. *Gazeta narodowa*, która nigdy nie bije pokłonów przed „oględną“ polityką Koła polskiego w Wiedniu, krytykując namiętnie nieraz całą oględności tej jałowość, umieściła niedawno zanadto może dosadną ocenę zachowania się Koła podczas rozpraw nad językiem państwowym. Autor artykułu, jeden z posłów do Rady państwa, którego nazwiska wymienić mi jednak nie wolno, schłostał nielitościwie wszystkich mówców polskich, Madejskiego zwłaszcza i Czartoryskiego, wytykając pierwszemu „pocieszne i mizerne kruczki, które zarówno nieprzyjaciel użyć może przeciwko nam samym.“ drugiemu porównywanie sporu czesko-niemieckiego z zatargiem rusko-polskim w Galicyi, mające rzekomo zaszkodzić naszej sprawie. Obaw tych — jeżeli z rusinami postępować mamy uczciwie — nie mogę podzielić, jak nie piszę się również i na krytykę mowy Hausnera, który przecież nie wyrzekł się bezwarunkowo odrębnego stanowiska Galicyi, ale oświadczył wyraźnie, że nie przyjmuje go za cenę zdrady wiernych sojuszników. A to właśnie podnosi autor jako „grzech śmiertelny Hausnera! Najmniej stosunkowo dostało się Grocholskiemu, którego przemówienie „ma przynajmniej tę zaletę, że jest ogólnikowe.“ Ładna pochwała!..

Obronę skrytykowanych podjął *Dziennik polski*, ale pod skrzydłami jego nie zdołał się jakoś zmieścić p. Hausner. Świadczy to chyba, że pisklę wyrosło ponad głowę kokoszy... Cięcie, wymierzone na p. Hausnera, odparowała natomiast *Reforma* a i *Gazeta narodowa* zastrzegła się co do tego posła.

Prawdziwą niespodzianką był wynik głosowania nad wnioskiem Wurmbranda. Okazało się, że właściwym panem położenia jest rząd, a nie prawica, i że ta ostatnia służy mu tylko wiernie, zanadto wiernie. Najpoddańszym poddanym jest znowu Koło polskie, które mimo wszelkich ku temu powodów nie może się zdecydować na wypowiedzenie posłuszeństwa a przynajmniej zaostrzenie swego względem rządu stanowiska. To też częste wycieczki *Reformy* i *Gazety narodowej* przeciwko tej pobożnej instytucyi są zgoła usprawiedliwione.

Tyle z polityki. Teraz zaś pozwólcie mi umoczyć pióro w kałamarzu prawdziwej miłości bliźniego i ewangielicznego braterstwa! Inkaust, którym mam pisać, zabarwiony jest, co prawda, na kolor jezuicki, ale też i oo. jezuici go wyrabiali. *Reverendissimi* posiadają konwikt w Tarnopolu, w odezwie zaś swojej, zawiadamiającej o przeniesieniu zakładu do Bońkowic, w ten sposób zalecają się względom „wysokiej szlachty itp. publiczności:“ „Spodziewamy się, że przy *odpowiedniem* prowadzeniu dojdziemy do tego, aby młodzież zawczasu nauczyła się *rozumieć należycie różnicę, jaką w socyalnem położeniu wytwarza większy lub mniejszy majątek.* Uczniowie ubożsi stykać się będą z zamożniejszymi tylko *w kościele i szkole*...“

Jakżeż to? Więc hołota ocierać się będzie o delikatnych hrabiczów i książątka także w szkole i kościele? Jakżeż można? Toż „nie nauczywszy się zawczasu rozumieć należycie itd.“ cisnąć się będzie kiedyś każdy wychowanek jezuitów do kolatorskiej ławki! Z drugiej strony obawiam się, że pomimo „odpowiedniego prowadzenia“ jeden z waszych uczniów, szanowni *patres*, nie przestanie myśleć samodzielnie i wybije się na wierzch w świecie. A nuż zajmie np. katedrę obok jakiego hrabiego profesora? Skandal, formalny skandal! Trzebaż być przecie konsekwentnym i uprawiać z większą starannością „socyalne różnice!“

Teraz znów wiadomości ze świata artystycznego... Sprawa Fryling-Myszuga, która tyle hałasu narobiła na naszym bruku, jest już niemal na ukończeniu. Ale ileż to najpotworniejszych baśni nie natworzono na tak wdzięczny temat! Stało się nareszcie, że *Il monde artistico* streścił sprawę w ten sposób: „Tenor na cmentarzu, zabójca w kryminale a donna... w objęciach trzeciego!..“ Brawo, ale *wo ist die Katze?*... Mnie tam zresztą nic do tego, kto jest tym „trzecim,“ pierwszą atoli i drugą część doniesienia włoskiego pisma sprostować muszę o tyle, że tenor zdrów jest zupełnie i śpiewa tak samo pięknie, jak przedtem, o tyle nawet piękniej, że partyi Josego w *Carmenie* wyuczył się w ciągu choroby po polsku. Co do p. Frylinga, to śledztwo i rozprawa wykazały wprawdzie winę jego w lekkiem uszkodzeniu ciała, ale zadały natomiast stanowczy kłam ubliżającym czci jego twierdzeniom, jakoby napadł przeciwnika z tyłu i w innym zamiarze a nie celem pomszczenia moralnej krzywdy.

Carmen sprowadza ciągle jeszcze tłumy publiczności do teatru. Bilety, na kilka dni przedtem po znacznie podwyższonych cenach rozsprzedane, są później przedmiotem licytacyi. Zapału dla opery Bizeta, czy też dla panny Herman nie ostudził nawet Sarrassate, którego trzy koncerty zapełniły również salę teatralną. Jakoś wogóle starczy nam tego roku na wszystko pieniędzy! Bawimy się też szczególnie! Reduty, bale, pikniki, dla których niebywałe wymyślamy powody i nazwy, następują dzień po dniu, czasem kilka równocześnie jednego wieczoru. A pojedynków, ile się już odbyło!...

Rewera.

BADANIA DZIEJOWE.

Dubiecki Maryan. **Obrazy i studya historyczne.** Serya I. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1884, 8-a str. 287.

Obrazy swoje i studya kreślił p. Dubiecki w Dauryi i na Niżu dnieprowym. Pozbawiony najniezbędniejszych pomocy naukowych, z konieczności zrzec się musiał tematów rozległych lub takich, które wymagają poszukiwań archiwalnych i śledzeń; występuje też w charakterze popularyzatora raczej, niż naukowego badacza i ogranicza się na dosyć skromnych zadaniach, bez pretensyi do odsłaniania widoków szerszych lub nowych. Wyjątek pod względem nowości stanowić może nieuprawiana w literaturze, na źródłach rosyjskich oparta opowieść o awanturniczych na dalekim wschodzie przygodach polaka (*Osadczy ziemi Mandżu w XVII stuleciu*) i ta też, choć nie dotyczy dziejów naszych, interesu budzi najwięcej.

Ładnie i przystępnie napisany życiorys Długosza z pożytkiem czytany być może przez tych, którzy się nie zechcą czegoś więcej o dziejopisie dowiedzieć z badań Zeissberga; studyum obyczajowe p.t. *Gniazdo hetmańskie* — parafraza testamentu wojewody sieradzkiego Koniecpolskiego, z pożytkiem również ci przejrzą, dla których niedostępne są ogłoszone w r. 1842 przez Przyłęckiego we Lwowie *Pamiętniki o Koniecpolskich*. O *Pamiętnikach* owych powinien był autor w studyum swojem wspomnieć choćby w formie cytaty. Przemilczał je, choć na nich pracę swą oparł, zacytował zaś ks. Chołoniewskiego, Bandtkiego, Grockiego i Paska, z których korzystał tylko przygodnie. Jestto grzechem przeciwko naukowej metodzie. Opowiadanie o wyprawie Czarnieckiego do Danii oparł p. Dubiecki na *Księdze pamiętniczej* Michałowskiego, na Rudawskim, Kochowskim, Pasku i innych; w niem również, jak i w artykule poprzednim, przeciwko przyjętym w nauce zwyczajom nagrzeszył. Lubi autor cytować — lecz niewyraźnie. Mniejsza o to, że pomija tytuły, tomy i stronice dzieł pisarzy powszechnie znanych; co jednak ma znaczyć cytata w tej formie: „Dyaryusz albo suma spraw etc. (wyd. Przyłęckiego we Lwowie)“? Konia z rzędem pospolitemu czytelnikowi, który zacytowane w ten sposób dzieło odnajdzie; wypadkowo chyba dojść może, że ów *Dyaryusz* mieści się w *Pamiętnikach o Koniecpolskich*. Cytuje znowu włoskie pismo Pinocci'ego i dodaje: „przyczynek ów dziejowy dotąd spoczywa w rękopiśmie.“ Mogłoby się pospolitemu czytelnikowi wydawać, że autor dziełko Pinocci'ego we włoskich znalazł archiwach, kiedy tymczasem odczytał tylko o niem relacyę w Grabowskiego — jeżeli się nie mylimy — *Ojczystych spominkach*.

Dla przedstawienia *Miłości wieków ubiegłych* same pamiętniki Paska, nawet przy pomocy poezyi Morsztyna, źródłem są chyba za skąpem. Na temat owej miłości możnaby charakterystyczną i ciekawą napisać książkę, potrzeba jednak rozległych studyów psychologicznych i porównawczo-historycznych, żeby do pozytywnych w tym przedmiocie dojść wniosków. *Jeden dzień z życia Piotrkowa w XVIII* jest wykrojoną z Kuryera polskiego z r. 1758 opowieścią o uroczystem wjeździe do miasta nowego starosty.

Pomimo ubóstwa treści i wadliwości w formie, grzeszącej złym materyału układem, rozwlekłością opowiadania i powtarzaniami — przyznać musimy, że w Dauryi, a nawet na poetycznym Niżu trudno bez dobrze poprzednio wyładowanej teki coś lepszego z historyi napisać. Śród dogodniejszych warunków stworzyć zdoła autor niejedną rozprawę gruntowną. Że do dziejów ma zapał — dowodem tego produkcya w Dauryi i na Niżu; że posiada uzdolnienie, do prac historycznych potrzebne — świadczy ogłoszona w r. 1879, nagrodzona przez Ak. Um. w Krakowie, wcale dobra monografia Kudaka.

Wł. Smoleński.

NIESPODZIANKI.

Wstaję zrana, chwytam lirę —
Śpiewać mi się chce okrutnie...
Myślę: co też muza utnie?
Sonet, piosnkę, czy satyrę?
W upojeniu, w rozmarzeniu
Łowię pierwsze natchnień dźwięki,

Słyszę głos bogini mięki,
Czuję rozkosz w serca drżeniu...
Zwolna jakaś myśl świetlana
Z niebios spływa mi błękitu,
W tem... Stróż wchodzi: „proszę pana,
Czy pan ma kartę pobytu?“

* *
*

Pragnąc z miejskim zerwać światem,
Idę w pole. Widok boski!
Zbliżam się do jakiejś wioski
Ozłoconej zórz szkarłatem —
Las w oddali... Sine wzgórze,
Dziki parów... młyn w parowie...
Cudny pejzaż snuję w głowie,
Niebo wrażeń sobie wróżę.
Do ołówka! Już, już godzę,
Świateł, cieniów przeciwieństwo,
Nagle — jakiś chłop na drodze:
„Panie, ma pan *pozwoleństwo?*“

* *
*

Mam — odrzekłem. Idę dalej.
Bo mi natchnień pierzchły roje.
Jak na utrapienie moje
Wzgórza piętrzą się wspanialej.
Idę jednak. Koło słupa,
Co podróżnym mierzy drogę —
Widzę — dzieci wiejskich kupa...
Minąć bębnów tak nie mogę.
Więc się bawię rad rozmową,
Najrozkoszniej czas mi płynie,
Raptem — słyszę tuż nad głową:
„Czy się pan meldował w gminie?“

Maryan Bohusz.

LIBERUM VETO.

Co to jest historya literatury.—Jednożeństwo nauk.—Konkurs *Biblioteki Warszawskiej.* — Wiek XVII. — Przeskakiwana otchłań. — Chleb prawdy. — Objaśnienia historyczne p. M. Gorzkowskiego. — Kilka pereł mimowolnego humoru. — Lepiej żeby malował. — Sielankowa naiwność. — Jeszcze o znakologii. — Okólnik zagraniczny. — Pociecha dla kupca z Pesztu. — Frutti di Varsavia.

Może to paskudny grzech, co to jest wszakże „historya literatury“ — ja nie wiem. Ma być nauką — a nie posiada żadnego określonego pola i żadnych granic. Jedni ją uważają za dzieje poezyi, powieści i dramatu, inni przyorują jeszcze kilka skib z umiejętności — z filozofii, prawa, filologii i nauk przyrodniczych, inni ogarniają całą wiedzę wraz ze sztukami pięknemi i wychowaniem publicznem. Jeżeli zgodzimy się na ten ostatni, najszerszy zakres, to łatwo pojąć, że on przerasta siły ludzkie: nikt całej takiej literatury cywilizowanego narodu nie przeczyta, a jeśli przeczyta — należycie nie oceni. Bo nie narodził się i nie narodzi tyle mądry człowiek, któryby z równą gruntownością zbadał historyę astronomii lub nawet prawa i filozofii. Musi on w tym lub innym dziale opierać się na sądach cudzych lub sypać ogólniki bez wartości. Niedawne to jeszcze czasy, kiedy uczeni wykładali kolejno: psychologię, teologię, astronomię, antropologię, etykę itd., dziś każda z tych sióstr oddaje się innemu i ledwie jakiś maruder tworzy z nich sobie harem i płodzi niedołężne dzieci. Przypuszczam, że podobny rozdział czeka gromadę dziewic, zamkniętych w „historyi literatury:“ poezya będzie miała swego oblubieńca, filozofia — swego, socyologia — swego, a wspólny ich dom zniknie lub ustąpi miejsce gmachowi, według planu Laplace'a, jednoczącemu w sobie całą twórczość i wiedzę ludzką.

Ale, chociaż mi się tak zdaje, nie odmawiam zasługi poważnej t. z. historykom literatury. Żaden z nich nie zbada i nie przedstawi dziejów umysłowości nawet swojego narodu, ale zbadać i przedstawić może jakąś ich część i stronę. Dlatego zapisuję między cnoty czyn *Biblioteki Warszawskiej*, która nie naśladując ks. Bismarka, wnoszącego do sejmu ponownie wnioski odrzucone, pogrzebała swój „Wzór obywatela współczesnego“ i wyznaczyła inny konkurs: „Obraz historyi literatury polskiej w wieku XVII.“ Redakcya żąda, ażeby w tym obrazie uwzględniono nietylko utwory literackie, ale także stan szkół, stosunki społeczno-polityczne, wpływ przeniesienia stolicy i prace naukowe zarówno po polsku, jak po łacinie pisane. Jestem gotów do 1,000 rs. nagrody dołożyć moją głowę, że nikt tylu zadaniom należycie nie podoła, ale część ich może spełnić umiejętnie i literaturę naszą poważnie wzbogacić. Takiej zaś książki nie mamy. Wiek XVII jest w naszych dziejach skalistą, ciemną, trujące pary wyziewającą otchłanią, którą każdy historyk piśmiennictwa polskiego chętnie przeskakiwał a żaden do jej mrocznych głębin zejść nie chciał. Otóż redakcya *Biblioteki Warszawskiej* rozumnie zrobiła, wezwawszy badaczów do zapuszczenia się w tę przepaść, do oświetlenia jej i wykazania, jakie tam organizmy się rozkładały, jakie istoty żyły, co lęgło się na pożytek narodu, a co na jego zgubę. „Dzieło proponowane — powiada ona — mające jedynie cel naukowy na względzie, dalekie od rehabilitowania wieku XVII historyi literatury polskiej, powinno przedstawić obraz żywy — nie przesądzamy, czy mniej lub więcej sympatyczny — *byle prawdziwy.*“ Brawo! Wychudliśmy na słodkich kłamstwach i chwalbach, sprobujmy teraz gorzkiego chleba prawdy — *nb.* rzeczywistej, wolnej od przesądów i niepodyktowanej przez korzyść praktyczną. Dziejopisarze nasi już chleb ten od lat kilkunastu obficie wypiekają, a dotąd nikt się nim nie otruł, co najwyżej tylko parę ciasnych gardziołek się udławiło.

Na wszystkich świętych zaklinam p. Maryana Gorzkowskiego, ażeby nie stanął do konkursu i nie zechciał swej nienagrodzonej pracy wydrukować. Słynny ten mąż, który tyle razy imię nasze w Europie swojemi „objaśnieniami historycznemi“ kompromituje, ile razy je Matejko swoimi obrazami rozsławia, któremu mistrz Krakowski zawdzięcza podobno nieszczęśliwe swoje natchnienia i zwrot klerykalny, ów mąż wydał znowu „Wskazówki do nowego obrazu Jana Matejki Wernyhora z pobieżnym *opisem o kozakach wogóle.*“ W tym sznureczku są takie „perły (mimowolnego) humoru,“ które p. Bartoszewiczowi radzimy w swym zbiorze pomieścić. I tak:

Str. 3. „Przepowiednie lub wieszczby już w czasach najodleglejszych, nietylko wywierały wielki wpływ na dzieje wszystkich krajów, lecz były nawet *główną podstawą narodowego istnienia*“ (doskonałe na prima Aprilis dla historyi).

Str. 15. „*Obraz... wyobraża* chwilę, gdy Wernyhora, siedząc na mogile *w czasie wieczornym*, ogłasza przepowiednie o Rusi i Polsce, *wzbogacając sztukę krajową zasobem historycznych mężów z naszej przeszłości*“ (tego nie rozwikłałby sam Wernyhora).

Str. 16. „U stóp jego leży lira, ów najstarożytniejszy na Rusi instrument muzyczny, jak samo zresztą imię jego jest dowodem; nazwy bowiem: *muzyka* i *lira* sięgają czasów *prawie* homerycznych *jeszcze*, a sam *przymiotnik* — *mużyk, mużyki*, określający stan wiejski na Ukrainie, zdaje się wskazywać, że *chłop*, *mużyk* zawierało pojęcie godności i wykształcenia u ludu w muzyce i pieśniach, w starodawnych wiekach.“ (Na użytek p. Gorzkowskiego mogę ofiarować wiele podobnych wywodów etymologicznych. *Star* znaczy po angielsku: gwiazda, co dowodzi, że w Anglii mieszkali niegdyś słowianie, pijącą *starkę*, od której im gwiazdy w oczach błyskały; o temże przekonywa *step* (stąpnięcie), które za czasów „prawie homerycznych“ odbywało się tam pewnie po stepach; podobnież *smoke* (dym) wykazuje, że pod Londynem krakusowski smok zjadł barana nadzianego siarką i że mu się potem z gardzieli kurzyło itd.).

Str. 25. „*Odtworzenie* postaci Wernyhory, jako proroka, mającego w dziejach Rusi wielkie znaczenie, zaliczyć potrzeba (pamiętajmy *odtworzenie*) do cyklu tych znakomitych *mężów* przeszłości, którzy dali dotychczas Matejce *tło* do różnych jego artystycznych obrazów.“

Str. 25. „Matejko poruszył już z grobów wszystkich prawie (!) u nas największych bohaterów, zajrzał do głębi ich serca, popatrzył wszystkie *czyny ich ducha na ziemi*, a nawet *przeglądnął ich ruchomości*, strój ich i szaty.“

Takiego to największy malarz polski posiada komentatora!

Z dwojga złego wolałbym, ażeby p. Gorzkowskiego, zamiast pisać, zaczął malować i nawet przysyłać swoje obrazy na wystawę Towarzystwa Zachęty Szt. P. Przynajmniej wtedy nie byłoby między nim a Matejką żadnej wspólności, nie musielibyśmy łączyć dwu ludzi, z których jeden zdumiewa świat swym geniuszem, a drugi swą... naiwnością. P. Gorzkowski wypowiada najniemożliwsze twierdzenia z taką sielankową prostotą, jak gdyby wczoraj dopiero z łonem matki się rozstał. Przywłaszczyć nam jakąś prowincyę (w przeszłości), zrobić z rzeczownika przymiotnik, związać pokrewieństwem etymologicznem najróżnorodniejsze wyrazy, zapomnieć w zdaniu o gramatycznym subjekcie — przychodzi mu łatwiej, niż wyssać jagodę winną.

I oszczędzają go te same pisma, które skalpują felczerów i kramarzów za błędy stylistyczne i gramatyczne na szyldach. Wyznaję, że tego „pościgu“ nie rozumiem. Albo utrzymywanie się języka polskiego jest dla nas obojętnem, albo nie szykanujmy tych, którzy go używają, jak umieją. Szyldy żydowskie na Nalewkach są złe, polskie z błędami — także złe, więc jakiež dobre? Polskie poprawne. I ja wolę takie, ale nie będę nigdy wymagał, ażeby pierwszy lepszy Chaim dawał do zredagowania swe napisy Małeckiemu, Kryńskiemu lub nawet reporterowi, trudniącemu się „znakologią.“ Przed kilku dniami jeden z dzienników wystawił na pośmiewisko okólnik handlowy *zagraniczny*, napisany złą polszczyzną. Co do mnie, wcale z niej się nie śmiałem, owszem dziwiłem się, że firma zagraniczna używa naszego języka wtedy, gdy miejscowe kochają niemiecki lub francuski. A chyba ani nasze znaczenie, ani nasz handel nie przedstawia takiej potęgi, ażeby kupiec z Pesztu był obowiązany mieć w swym kantorze dobrych stylistów polskich. Zresztą, gdyby on przyjechał do Warszawy i przeczytał kilka pism, spożył porcyę najcudaczniejszych *frutti di Varsavia* — przeróżnych *sistowań, ankiet, promulgacyi, oktrojowań*, rymów w prozie, zabójczych powtórzeń jednego wyrazu i tym podobnych przysmaków, powiedziałby sobie z otuchą: „jeszcze my tam w Peszcie nieźle piszemy po polsku.“ Jeżeli w Warszawie tak wyrażać się wolno: „Karol znalazł suknię jedwabną wonią pachnącą, lecz pod wpływem silnego drgnienia zranionego swego sumienia, pomimo zawiści dla korzyści swego rywala...“ to w Peszcie, w Bukareszcie, Jassach, Atenach lub Filadelfii swoboda polszczyzny nie powinna być mniejszą. Najspokojniej w każdem z tych miast zacząłbym swój okólnik od słów: „Robię Pana uważnym na moją firmę, która itd.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Grojec. We wsi Dobiecinie czternastoletniego chłopca posądzono o drobną kradzież gospodar-

ską. Pomimo zapewnień, że jest niewinny wsadzony został przez właściciela na noc do obórki, skąd na drugi dzień miał być odesłany do gminy. Nazajutrz znaleziono go powieszonym bez oznak życia, jednocześnie okazało się, że kradzież spełnił kto inny. Oburzającą jest taka samowola nawet względem przekonanego złodzieja, ale ktoby tam z chłopem robił sobie ceremonie, chociaż, jak się okazuje, i on może podnieść się do najwyżej posuniętego poczucia własnej godności.

Łęczyca. Właściciel dystylarni zamknął w oddzielnej izbie 4 kobiety, mające zlewać arak w butelki. Po upływie kilku godzin trzy z nich znaleziono bez przytomności, czwarta zaś, upadłszy twarzą w kadź z arakiem, udusiła się.

— Rozboje i grabieże podróżnych na trakcie krośniewickim powtarzają się bez przerwy. W ciągu zeszłego tygodnia rabusie dokonali siedmiu napadów. Straż ziemska przedsiębierze rozmaite środki dla wykrycia winnych i, jak zwykle, bezskutecznie.

Dąbie. (Gub. kaliska). Maleńkie to miasteczko należy do bardzo ruchliwych, mieszkańcy jego utworzyli straż ogniową ochotniczą, założyli szkołę dla dziewcząt, a obecnie Towarzystwo muzyczne. Amatorowie zaczęli od muzyki kościelnej, kupili instrumenty i sprowadzili nauczyciela.

Włocławek. Miasto zawarło kontrakt z angielską kompanią oświetlenia elektrycznością. Przedsiębiorcy zobowiązują się wystawić 120 lamp za wynagrodzeniem 2,400 rs. rocznie. Kontrakt przesłano do ministeryum spraw wewnętrznych dla zatwierdzenia.

Z Wołynia donosi korespondent *Wieku*, że obywatele tamtejsi z gorączkowym pośpiechem wyprzedają lasy, ponieważ krążą wieści, że w drodze prawnej nastąpić mają pewne ograniczenia tego marnotrawnego pozbywania się własności. Niedawno jeden z większych właścicieli sprzedał 4,000 morgów lasu, z warunkiem, że nabywca ma prawo w ciągu 20 lat rąbać nietylko te drzewa, które dziś są, ale i te, które urosną, chociażby najcieńsze.

Kielce. Najnowszy produkt cywilizacyi—dynamit znajduje coraz szersze zastosowanie na wsi. Dotychczas, co prawda, tępiono nim przeważnie ryby. Obecnie we wsi Siekiernie nieznany zbrodniarz w nocy wybiwszy okno wrzucił do chaty włościanina cały nabój dynamitowy. Wszystkie okna wyleciały z ram; z łóżka, na którem spoczywały dzieci, pozostały tylko drzazgi; dziwnym wypadkiem jedno dziecko poniosło śmierć, drugie zaś tylko potłukło się lekko. Inne osoby wyszły cało.

Łuck. Rada miejska wyznaczyła lokal i zobowiązała się płacić 3,000 rs. rocznie na utrzymanie progimnazyum. Otwarcie zakładu naukowego jest nadzwyczaj pożądanem dla mieszkańców zachodnich powiatów Wołynia. Jedyne gimnazyum znajduje się w Żytomierzu na drugim krańcu gubernii.

Tomaszów Rawski. Przemysłowcy tutejsi czynili na próżno starania u Banku polskiego o otwarciu filii; po kilkakrotnej odmowie udali się do Banku państwa, który zgodził się na utworzenie oddziału, pod warunkiem, że w ciągu dwu lat miasto dostarczy bezpłatnie pomieszczenia. Będzie to pierwsza filia tej instytucyi w naszym kraju.

Bobrujsk. Jednemu z obywateli spaliły się niedawno stodoły, zawierające sporo niewymłóconego zboża i siana. Pogorzelec zmuszony był część inwentarza oddać na przezimowanie sąsiadom a część z biedą utrzymał sam. W tydzień po pożarze przybyli miejscowi włościanie, ofiarując mu bezpłatnie po parę wozów siana i słomy, podówczas gdy pp. sąsiedzi wzięli za przezimowanie po 6 rs. od sztuki.

Łask. Do biura powiatu odstawiono z Piotrkowa niejakiego Ratajczyka, karanego niejednokrotnie za kradzieże, który oskarżył się sam przed sądem o podpalenie zabudowań w Wrzeszczowicach. Po zbadaniu sprawy sąd przyznał, że występku Ratajczyk popełnić nie mógł. Po przybyciu do Łaska zażądał, żeby go wsadzono napowrót do więzienia, bo inaczej podpali dom szwagra. Na gadaninę tę niezwracano uwagi i wypuszczono go na wolność, w nocy jednak Ratajczyk pogróżkę swoją spełnił.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 13 lutego.

Prawa wyjątkowe w Wiedniu i ich dotychczasowe skutki. — Cudowna zmiana w Serbii. — Komisye do zbadania nędzy robotników. — Kłopoty rządu angielskiego.

Według oryginalnych zasad austryackiej logiki prawo o zaprowadzeniu wyjątkowego stanu w Wiedniu i okolicy przedstawione zostało komisyi parlamentarnej, która jednak ani odrzucić, ani zmienić go nie może, t. j. właściwie może uczynić jedno i drugie, ale rząd nie ma obowiązku zgodzić się na to. Pozostaje więc tylko droga pośrednich wpływów, bo gdyby większość stanowczo wystąpiła przeciw wnioskowi, rząd na wielu punktach musiałby uledz, nie chcąc wchodzić w spór otwarty z przedstawicielstwem narodu. Ale o jakiejkolwiek opozycyi mowy nawet niema, tylko lewica wyraziła skromne życzenie ograniczenia przepisów, dotyczących wolności słowa i zawieszenia sądów przysięgłych. Życzenia te są najzupełniej słuszne. Zniesienie wolności druku rozwiązuje ręce policyi do wszelkiego rodzaju nadużyć bez obawy kontroli ze strony społeczeństwa; zawieszenie zaś sądów przysięgłych nie może znaleźć usprawiedliwienia. Bo jeżeli społeczeństwo utożsamia swe interesy ze sprawą rządu, to najlepiej samo je obroni, jeżeli zaś nie, to dzisiejsza działalność administracyi jest gwałtem, zamachem na swobodę narodu, który widocznie pragnie czego innego, aniżeli rząd. P. Taaffe nie raczył nawet dać komisyi szczegółowych objaśnień, twierdząc tylko ogólnikowo, że nowe prawo niema celów politycznych! Wytresowana w wiernopoddańczych uczuciach prawica poprzestała na tem. Rozumie się, że Koło polskie jak najgoręcej popiera rząd. Skutki nowego prawa dają się już we znaki, setki osób wydalono z Wiednia, drugie tyle oczekuje tego samego losu, zawieszono robotnicze dzienniki: niemiecki *Zukunft* i czeski *Delnicke listy*, zamknięto Bogu ducha winne polskie stowarzyszenie *Zgoda* i po tych łatwych tryumfach zachęcony powodzeniem rząd zamyśla zaprowadzić stan wyjątkowy w fabrycznych okręgach Czech i Morawy.

Dziś już zauważyć się dają te same objawy, co w Prusach: mnóstwo robotników i rzemieślników zaczyna emigrować do Ameryki.

Zabójcą Blöcha jest niejaki Stelmacher, rodem szlązak, b. podoficer saski, znany już od lat kilku agitator socyalistyczny.

Pojętny uczeń Austryi król serbski przewyższył w zręczności swego mistrza: dokonał on czarodziejstwa, którego pozazdrościć mu mogą mężowie stanu z nad modrego Dunaju. Pierwszo wybory do skupczyny wykazały niejaką przewagę opozycyi, ale nagle za dotknięciem policyjno-magicznej pałki p. Christicza nastąpiła zmiana dekoracyi i z urn wyborczych wyszła znaczna większość rządowa.

Przesilenie robotnicze we Francyi ucichło, czy to dlatego, że ruchowi zrazu nadano za wielkie rozmiary, czy też, jak utrzymuje *Gazeta Warszawska*, że zwyciężyły *„wielkie* zasady dawnej szkoły Say'a i Ricarda“ (!) ale spokój wraca i kampania przedsięwzięta przez radykalistów skończyła się porażką. Co prawda wybraną została w myśl wniosku Clemenceau komisya dla zbadania stanu klas robotniczych, ale większość jej stanowią ci, którzy głosowali przeciw projektowi.

W parlamencie angielskim trwają wciąż jeszcze rozprawy nad polityką egipską gabinetu. Opinia publiczna potępia chwiejność i trwożliwość rządu, a znany ze zręczności w odgadywaniu zmiany kierunku prądów politycznych *Times* wprost nazywa postępowanie Gladstone'a — występnem. Ten ostatni posiada jednak w Izbie niższej większość, na którą stanowczo liczyć może a do nowych wyborów jeszcze daleko i nim one nadejdą, oburzenie ostygnie. Z Egiptu dochodzą nie bardzo pomyślne wieści; generał Gordon przybył szczęśliwie na miejsce swego przeznaczenia, ale sam nie wiele co zrobić może. Suakim ważny port nad Czerwonem morzem zagrożony, bronią go mają marynarze angielscy; współudział załóg okrętowych francuskich i włoskich, znajdujących się tamże, został odrzucony.

Do szeregu kłopotów przybywa jeszcze powstanie na Cyprze (?), dla uśmierzenia którego, jak donoszą telegramy, wysłano wojska tureckie i wiadomość o śmierci Cetewaya, króla zulusów, niejednokrotnie już zresztą uśmiercanego i znów zmartwychwstającego.

Londyn. Izba lordów większością stu głosów przyjęła wniosek Salisburego, potępiający zagraniczną politykę Gladstone'a.

Petersburg. „Ponieważ zakłady szkolne w okręgu naukowym warszawskim otrzymały możność wspierania z własnych funduszów ubogich uczniów, tworzenie przeto w tym celu prywatnych towarzystw nie będzie dozwolonem.“

Tak donoszą gazety rosyjskie.

— Umarł nagle senator Kowalewski.

Berlin. Ks. Orłow, ambasador w Paryżu, ma być przeniesiony do Berlina.

CUDZE GŁOSY.

Stara prawda. Petersburskie *Echo* rozpoczęło szereg artykułów p. t. „Kwestya słowiańska,“ poświęconych wyjaśnieniu wzajemnego stosunku polaków i rosyan. Wypowiadając starą prawdę, że spory słowian pomiędzy sobą szkodzą im i wypadają jedynie na korzyść niemców, gazeta oświeca to zdanie nieco inaczej i uzasadnia swój pogląd w sposób, do jakiego prasa tamtejsza nas nie przyzwyczaiła. Zasadniczy punkt wyjścia streszcza *Echo* w tych słowach:

„Zdaje nam się słusznem, że jeżeli polacy widzą potrzebę poczynienia znacznych ustępstw w swych odwiecznych życzeniach, żądaniach, marzeniach i nadziejach — to jednocześnie powinni to zrobić i rosyanie, cieszący się sławą zwycięzców, posiadający olbrzymie środki i siły, dążący dziś do tego, żeby inne ludy słowiańskie uwierzyły w ich braterskie uczucia i zapewnienia.“

Ciekawym jest związek, jaki dopatruje gazeta pomiędzy germanizacyą słowian nadbaltyckich i upadkiem Polski.

„Sto lat nie minęło jeszcze od czasu, jak Polska, będąca główną obronicielką słowiańskich interesów, utraciła byt polityczny i, patrzcie, co się stało z ziemiami słowiańskiemi nad brzegami Odry, Wisły i Baltyku.

Dwadzieścia lat przeszło od ostatniego politycznego spotkania się polaków i rosyan, i patrzcie, co się dzieje w kraju nadwiślańskim, w północno i południowo-zachodnim. Tu i tam cisną się cudzoziemcy z wiecznem *Drang nach Osten* na ustach. Jasnem jest, że wskutek tych zawikłań zawsze przegrywali i polacy i rosyanie, a to w ten sposób, że ile tracili pierwsi, tyle również tracili drudzy, chociaż na pierwszy rzut oka ostatni nie ponosili i nie ponoszą niby dotąd żadnej straty. Jak dla polaków nie było, niema i nie może być

korzyści z powstawania przeciwko rosyanom, tak i dla rosyan nie było także, niema i nie może być żadnego wyrachowania w szkodzeniu polakom. Jeżeli tak jest, jeżeli to prawda, to, jak powiada przysłowie, „lepsza słomiana zgoda, niż złota wojna,“ obie narodowości powinny podać sobie ręce i pogodzić się naprawdę, bez wszelkich ukrytych myśli, pojednać się koniecznie, bez straty czasu i raz na zawsze. W obu nieprzyjaznych obozach dawno już odzywają się głosy o pojednaniu i w obu od czasu do czasu dają się słyszeć wymówki, zarzuty a czasem nawet i obelgi. Ta ostatnia okoliczność przeszkadza w zawarciu potrzebnego rozejmu. Dość już było łez; teraz przyszła kolej na inne potrzeby i inne czasy. Czas już obejrzeć się, porobić rachunki, policzyć się z sobą, zwrócić uwagę na otrzymane rezultaty a przedewszystkiem nie tracić z oczu groźnej chmury, gromadzącej się na zachodzie i zwolna ku nam się posuwającej. Czas już rzeczywiście zastanowić się nad tem, czy istotnie nie ma jakiego sposobu na pogodzenie polaków z rosyanami? Powtarzamy raz jeszcze, mamy nadzieję, że niektóre z nich uda nam się odszukać i że wskaże nam je staranne a bezstronne przyjrzenie się przyczynom i następstwom powstania z 1863 r.“

Wspomnienia. *Dziennik Warsz.* przytacza dwie anegdoty o b. namiestniku Bergu, odnoszące się do czasu jego pobytu w Warszawie.

„Do Warszawy przybył nowozamianowany praporszczyk i w pierwszą niedzielę uznał za właściwe złożyć wizyty różnym generałom; pomiędzy innymi zajechał i do głównodowodzącego wojskami hr. Berga, a nie zastawszy go w domu zostawił bilet, na którym *en toutes lettres* wydrukowany był stopień praporszczyka oraz jego imię i nazwisko.

Hr. Berga rozgniewało podobne zuchwalstwo i nazajutrz praporszczyk bez objaśnienia mu przyczyn został aresztowany. Siedząc na odwachu bił się z myślami, za co uwięziony. Nadszedł wieczór—nagle otwierają się drzwi i wchodzi hr. Berg, trzymając w ręku bilet wizytowy.

— Pan jesteś praporszczyk N...?

— Tak jest, *Wasze sijatielstwo*.

— Zrobiłeś mi pan zaszczyt, odwiedzając mnie; chcąc rewizytować pana, znalazłem się w kłopocie, bo nie wiedziałem, gdzie pan mieszkasz, dlatego kazałem pana pomieścić tutaj. Oto mój bilet.“

Po tej wizycie praporszczyk przesiedział jeszcze tydzień.

Druga anegdota:

„Nieboszczyk hr. Berg był wielkim pedantem w rzeczach dotyczących umundurowania. Pewnego razu spotkał on na Nowym Świecie oficera z piechoty w ostrogach, i zatrzymawszy go, kazał mu iść na odwach. Surowo karzę odstępstwo od przepisanej formy — rzekł hrabia — sam zawsze ubieram się według wzoru; zwróć pan moją uwagę, jeżeli będę nie właściwie ubrany, to sam pójdę do kozy!

Po tygodniu wypuszczony z aresztu oficer znów spotkał hr. Berga i zatrzymując go, rzekł: Kazałeś mi pan zwrócić uwagę, kiedy będziesz niewłaściwie ubrany.

— Owszem zwróć pan, zdaje mi się, że jestem ubrany, jak należy.

— Wasza Ekscelencya chodzisz zupełnie bez ostróg.

— Masz pan racyę — przepraszam — odrzekł Berg. Ale widzisz pan, ja jestem już zbyt stary, bądź więc łaskaw i odsiedź za mnie dwa tygodnie w areszcie.“

Kartka z przeszłości. *Warszawskij Dniewnik* zamieszcza wspomnienia, dotyczące wojskowych rosyjskich w Warszawie przed 1830 r. Notatki te rzucają niejakie światło i na naszą arystokracyę. Oto przykład:

„Mieszkała w tym czasie w Warszawie pewna hrabina, młoda 26-letnia wdowa, piękna, rozumna i bogata. Jak muchy do miodu zlatali się do niej wielbiciele, ofiarując bądź to serce i rękę, bądź samo tylko serce. Ale hrabina nie przyjmowała tych ofiar. W tłumie jej wielbicieli znajdował się i dowódca litewskiego pułku generał-major Kisz...yn. Był to człowiek dobry, ale prosty, odznaczający się gorliwością, ale nie rozumem i wykształceniem, ani też manierami i postawą. Rozumie się, że nie był szczęśliwszy od innych. Pewnego razu generał przyjechał wcześniej, niż zwykle przyjmowała hrabina wizyty, chcąc zastać ją samą. Pani kazała prosić go do buduaru... Na fotelu około sofy siedział Weretianin (przystojny feldfebel, o którym wyżej była mowa). Zobaczywszy generała feldfebel wstał, ale bez strachu i zmieszania, przeciwnie z godnością, zręcznie i śmiało.

Hrabina podeszła na spotkanie swego wielbiciela, wyciągnęła doń drobniutką rączkę i miłym głosem rzekła:

— Witam generała. Bardzo mi przyjemnie widzieć pana. Pewną jestem, że będziesz pan na tyle grzeczny, iż pozwolisz mi być gospodynią w mym buduarze, w którym wszyscy goście są dla mnie równi. Dlatego pozwól pan przedstawić sobie p. Weretianina, mojego dobrego znajomego, człowieka bardzo porządnego i przyjemnego. Siadaj pan, generale, na tym o to fotelu. Panie Weretianin siadaj również.

Obaj rywale usiedli naprzeciw siebie. Obu było nie zbyt składnie. Hrabina zawiązała rozmowę dowcipną i wesołą, w której Weretianin przyjmował więcej udziału, niżeli jego dowódca, ponieważ bardzo dobrze mówił po polsku. Ale generał został nie długo i odjechał z zazdrością w sercu i z gniewem na swego podwładnego...“

Ciekawy to przyczynek do historyi dostojnych niewiast naszych?

„Z marmurowem obliczem bogini,
Taka biała, dumna, niedostępna...“

i... feldfebel w roli adonisa! Jak tu pogodzić jedno z drugiem!

ODEZWA.

Jeżeli komu z pp. uczonych i literatów wiadomo co jest o niżej opisanych zabytkach, to udzielając odpowiedniej wskazówki, wielce zobowiążą niżej podpisanego.

Jeden rękopis nosi tytuł:

„Tractat nie naprzeciwko społeczności Apostolskiey, iakowa była raz w Jeruzalem... alie naprzeciwko takowey, iaką nam chciała zaliecić jedna z... sekt... zową ie Communistami na Morawie.“

Początek jego brzmi następnie:

„Doświaczczaycie duchow ieśli z Boga są... Aby każdy ktoby ten moy tractat czytał albo go słuchał, mnie wyrozumieć mogł, przeciwko czemu mowię, iżbym się nie zdał być przeciwnym Nowemu Testamentowi, krótkiemi słowy wspomnę tę społeczność teyto sekty na Morawie...“

Koniec jest taki:

„Do czego dopomoż Oycze Niebieski wszystkim nam Duchem Świętym, ktorzykolwie myśl maią usłuchnąć nauki Jezusa syna Twego miłego, w imieniu którego Cię o to prosiemy. Amen.“

Początek drugiego rękopisu:

„1550 vel 1551. Martini Cromerj De eo quod Christus non secundum utramque naturam sit verus, proprius et naturalis filius Dei, adversus Franciscum Stancarum libellus. M. Cromerus F. Stancaro S.

Existimabam equidem, Fr. Stancare, satis esse, quod pro debito meo et amicitia nostra matura verbo de coram admonui, quid non probarem in tuo libello...“

Zakończenie:

„Quod si tamen id a me contendas, non potero tibi negare ne vel immerito te reprehendere, vel defendere quae dico non posse videar.“

W dziełach Eichhorna i Walewskiego o Kromerze żadnej wzmianki o tem piśmie nie znalazłem.

6 lutego 1884, Heidelberg, Grabengasse, 18.

Jan Karłowicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Przedstawioną na scenie Teatru Rozmaitości komedyę J. A. Święcickiego *O własnej sile* znaliśmy z teatrzyków ogródkowych. Właściwie nie jest to komedya, ani utwór dramatyczny w istotnem znaczeniu tego wyrazu, ale podzielona na sceny, pełna młodzieńczego optymizmu deklamacya na temat niezależności kobiecej. Sztukę tę napisał autor w chwili, gdy zajmowano się u nas żywiej sprawą kobiety, gdy cały zastęp młodych emancypantek rzucał się z zapałem do szydła, dratwy, do młotów i pras introligatorskich, szukając na tej drodze niezależnego bytu. Jedne czyniły to z przekonania, inne chwytały modną zabawkę, która im się szybko sprzykrzyła. W komedyi p. Święcickiego główną przedstawicielką idei wyrażonej w tytule jest panna Wanda, której rodzice znajdują się w krytycznem położeniu. Razem z kuzynką Marylką uczyły się one tajemnic szewctwa i introligatorstwa a w krytycznej chwili zakładają warsztat, gdy ich rodzice spieniężyli resztki szlacheckiej chudoby. Gdyby panna Wanda z kuzynką pracowały, jak zwykle robotnice, zyski ich byłyby nader skromne, ale jako właścicielki warsztatów mogą się utrzymać z wyzyskiwania cudzej pracy... Z tego punktu widzenia hasło „o własnej sile“ staje się czczem tylko złudzeniem, a kobieta emancypantka nie jest lepszą od pierwszego lepszego majstra, który żywi się siłami całego legionu robotników. Chociaż więc w zasadzie przyklasnąć należy dążności utworu p. Święcickiego, jednakże w obecnym stanie sprawy kobiecej jego nawoływanie do szewctwa lub introligatorstwa jest jednostronnem, bo ekonomiczne wyzwolenie kobiety rozwija się dzisiaj na obszerniejszem polu. Pod względem więc społecznym komedya ta jest pozostałością literacką po minionej już chwili początkowego falowania pojęć emancypacyjnych. Jako utwór estetyczny nosi na sobie widoczne piętno pierwocin. Czuć tu na każdym kroku poetę liryka, który przedstawiając niby stosunki realne, co chwila wybiega za kresy rzeczywistości, puszcza wodze deklamacyi, która każdą myśl, każde uczucie wyraża z pewnym rodzajem gorącej przesady, która szczupłe rysy charakterystyki figur roztapia w potokach poetycznego wielosłowia. Natomiast sztuka zaleca się niejednym pięknym ustępem, potoczystym wybuchem liryzmu, ale rysunki figur i układ sceniczny świadczą o pierwotnem łamaniu się z trudnościami techniki.

Jakkolwiek publiczność nasza nie lubi utworów retorycznych, jednakże autor porwał ją chwilami niekłamanym zapałem, mniej wybrednych rozśmieszył wprowadzeniem szarżowanych karykatur i zadowolił prawomyślnych paroma kazankami, które nas wprawdzie nie olśniły, ale były szczere i nie przypominały fabrykowanych na pokaz frazesów.

Że sztuka nie raziła przesadą, autor zawdzięcza to artystom, którzy starali się w jego tyradę tchnąć tętno prawdy. Panna Marcello, jako przedstawicielka młodzieńczego zapału, p. Rapacki, jako twórca typowej postaci, wysuwali się głównie na tle doskonale wykonanej całości.

S. K.

Podatek przemysłowo handlowy, według projektu ministeryum finansów, ma być obliczany w stosunku od sumy kapitału obrotowego kupców i przemysłowców, nie zaś, jak dotąd, od rodzaju handlu, zajęcia i miejscowości.

Znajomość geografii. Warszawski korespondent *Now. Wremieni* opisuje—według *Kuryera Warszawskiego* — pewien wypadek w następujący sposób: „Niedawno obywatel p. L. S. siadł w mieście *Łęczycach w płockiej* gubernii na pierwszy poranny pociąg udający się do Łodzi.“ Wobec tego dziwić się francuzom, umieszczającym Warszawę nad rzeką Kaliszem — nie można.

Statystyka. W gubernii kaliskiej znajduje się 10.875 robotników fabrycznych; przeciętny zarobek jednego wynosi zaledwie 127 rs. rocznie.

Notaryusze. Przedstawiony został do zatwierdzenia wniosek powiększenia liczby notaryuszów małomiasteczkowych w Królestwie.

Popłoch. W poniedziałek na przedstawieniu w Teatrze Rozmaitości publiczność poczuła swąd i zapach spalenizny; tłumnie więc rzuciła się ku wyjściu. Tym razem strach minął bez poważniejszych następstw a przyczyną była, jak zwykle, piekarnia p. Janowskiego, która pomimo zdania komisyi rewizyjnej z niezbada

nych dla zwykłych śmiertelników przyczyn dotychczas nie została usuniętą.

Bibliografia polska. *Perły humoru polskiego.* Kraków, K. Bartoszewicz.

— Eliza Orzeszko *Ostatnia miłość* (1 tom zbiorowego wydania). Warszawa, Lewental.

Wystawy. W domu hr. Krasińskiego na Ordynackiem utworzoną została wystawa przywiezionych przez dra Dybowskiego przedmiotów zebranych na Kamczatce i wyspach Komandorskich.

Wywóz drzewa z Królestwa pomimo cła był znaczniejszy w roku zeszłym, niż w ciągu ostatnich lat dziesięciu.

Stosunki dziennikarskie w Poznańskiem nie przedstawiają się w różowem świetle. Redaktor *Kuryera poznańskiego*, odsiedziawszy niedawno 5 miesięcy, ma przed sobą jeszcze półroczne więzienie; redaktor *Dziennika poznańskiego* skazany jest na 11 i pół mies., *Wielkopolanina* na 5, *Przeglądu kościelnego* na 3. W ostatnich czasach redaktor *Gońca wielkopolskiego* za wydrukowanie adresu do Ledochowskiego, w którym nazywa go prymasem polskim, skazany został na dwa lata więzienia a wydawca *Pieśni polskich* Chociszewski na 4 miesiące. Dobrze jeszcze, że po większej części są to redaktorowie odpowiedzialni, których głównem zajęciem jest właśnie odsiadywanie kozy. W każdym razie ilustracya swobody ładna!

Archiwum wileńskie zawiera 4,092,000 dokumentów i aktów w języku polskim i łacińskim, nieopisanych Ponieważ jeden urzędnik przez rok opisać może najwięcej 5000 aktów, ministeryum oświaty zamierza powiększyć etat tej instytucyi, gdyż inaczej na uporządkowanie ostateczne wypadłoby czekać parę set lat.

Znowu. Miejsca ubywających telegrafistek postanowiono oddawać wyłącznie mężczyznom, nadal zaś kobiet do tej służby nie przyjmować.

Przekazy pocztowe. Z inicyatywy ministra finansów poruszony został projekt zaprowadzenia przekazów pocztowych. W małych osadach i wsiach czynność ta powierzoną będzie pocztmajstrom a wartość przekazów dla tych miejscowości ograniczoną,

Sale do tańca. Za przykładem kilku pism warszawskich i *Dziennik łódzki* obwołuje krucyatę przeciw t. z. salom do tańca, w których robotnicy zbierają się na zabawę, twierdząc, że sieją one rozpustę. A więc dla klas wyższych przybywa nowy jeszcze monopol — zabawy. Panowie mogą bawić się, ile chcą—ale „robocze bydło“ winno tylko pracować.

Pamiętniki Heinego, a właściwie niewielki tylko ich urywek, dotyczący młodocianych lat poety, nabył wydawca dziennika *Gartenlaube* i zamierza drukować w swem piśmie.

Pisma pośmiertne Słowackiego, niewydane dotąd a znajdujące się w bibliotece Ossolińskich lub w posiadaniu osób prywatnych, ukażą się w druku i stanowić będą czwarty tom powtórzonej edycyi dzieł pośmiertnych poety, zebranych p. A. Małeckiego.

Dziwna oszczędność. Rosyjska gazeta *Zdorowie* podaje, że w jednym ze szpitalów w Petersburgu postanowiono *dla oszczędności* wszystkim nowo wstępującym chorym dawać przez 5 dni tylko sam kleik.

Nowa kolej od Wilna do Równa zrobi dużą konkurencyę drogom Warszawsko-Wiedeńskiej, Terespolskiej i Petersburskiej; zmniejsza bowiem odległość między Galicyą a Petersburgiem o 22% a Moskwą o 38%.

Sprawa tisza-eszlarska znów wypływa. Adwokat wdowy Solymossy Szalay wniósł do sądu podanie, w którym opierając się na nowych danych, żąda powtórnego śledztwa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Tristramowi. Pretensya pańska byłaby słuszną, gdybyśmy nie mieli nic innego do roboty, prócz czytania nadesłanych rękopisów i gdybyśmy w czytaniu ich nie musieli zachowywać kolei. Co do samego dyalogu — w myśli przewodniej dobry, chociaż nie dość rozwinięty, w formie staranny, i pomimo to do wydrukowania dla nas niemożliwy.

Rybakowi. Zatrzymamy. Cena rs. 5 bez przesyłki. O możności sprzedania dzieł Kopernika wątpimy. Zresztą niech Pan szczegółowe uwiadomienie przyśle.

Przyjacielowi Pr. Ale szan. Panie na wszystko zgoda, a więc i na wyrok Wasz w sprawie służebności; nam szło o to, że jeśli ów obywatel przez ugoszczenie chłopów nakłonił ich do rozdziału własności, to tylko umiejętnie obrobił swój interes, ale bynajmniej nie zasłużył na wieniec dobroczyńcy ludu.

F. L. Różnica w wyrazach *primo congressu* (po pierwszem spotkaniu) i *intumuit* (nabrzmiała), co tam znaczy także: rozgniewała się.

N. A. Bez wartości.

Studentowi. Dzieła ściśle odpowiadającego życzeniu Pana nie znamy; poszukiwaliśmy w katalogach—daremnie. Wykłada ten przedmiot osobno Roscher w Lipsku, ale książki nie wydał. Można jednak zaradzić potrzebie z kilku źródeł!

P. Eugeniuszowi Iz. w Lub. „Ognisko“ będzie do sprzedania dopiero od 1 marca — rs. 5, z przesyłką 6.

P. L. Rady pańskie dobre, ale ich nikt z wezwanych nie posłucha. Dajmy pokój temu żywiołowi, z niego będzie zawsze to tylko, co jest.

P. W. S. w Płocku. Nie można.

P. Janowi Wiś. Dzieci rozumują dobrze, Pan również—a na te usystematyzowane brednie cóż my poradzimy? Smutna rzecz, że za podstawę wiedzy całych pokoleń służą opisy i twierdzenia, które już dziś przed krytycyzmem dziecka ostać się nie mogą.

P. W. w N. Nie można.

P. Edw. Z. w Warszawie. Dotąd sprawa ta oświetlaną była tylko przez artykuły dziennikarskie.

P. W. H. w Kaliszu. Znamy tych jegomościów, znamy!

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. Uczniowie rs. 6 kop. 50.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Февраля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.